

DR JAN HUPKA

Z ZIMOWEJ WYCIECZKI

Dochód przeznaczony na wykupienie
Kościoła św. Agnieszki w Krakowie

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”
1906

Z ZIMOWEJ WYCIECZKI.

DR JAN HUPKA

Z ZIMOWEJ WYCIECZKI

Dochód przeznaczony na wykupienie
Kościoła św. Agnieszki w Krakowie

W KRAKOWIE
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”
1906

Odbitka z »Czasu«

Nakładem Autora

Bari, 2 lutego.

Z radością wysiadaliśmy na ląd, obiecując sobie po 34-godzinnej morskiej huśtawce całodzienny wypoczynek dla rozkołysanych aż nadto nerwów, spokojną przechadzkę i spokojny posiłek, bez ram na talerze i szklanki, bez spadających ciągle widelców i nożów, bez oblewania się winem.

Bo też w dotychczasowej podróży morskiej nie mieliśmy szczęścia. Wyrzekaliśmy na siebie samych i na nasz pomysł wybrania w zamierzonej wycieczce do Sycyli i północnej Afryki takiej właśnie drogi.

W obolałych od ciągłego kołysania mózgach jedno było nam przecie jasnym, że skoro rozpoczynając tę wycieczkę w porze zimowej, a zatem w porze ciągłych wichrów i stale prawie wzburzonego morza, chcieliśmy pominąć kilkakrotnie już zwiedzane Włochy, to można było przejechać je szybko koleją aż do Reggio di Calabria, co miałyby wprawdzie także swoje niedogodności kilkakrotnego przesiadania się i niemiłego umęczenia, ale byłoby prawie rajem w porównaniu

z tem, cośmy już przeszli na morzu, a nie wiadomo, jakie nas jeszcze w dalszej morskiej podróży czekają przyjemności.

Ale stało się! Wybraliśmy drogę morską z Fiume do Bari, z Bari zaś po całodziennym postoju do sycylijskiej Catanji. Ponieważ zaś ani statki austriackiego Llojda, ani węgiersko-chorwackiego Towarzystwa tej drogi nigdy nie odbywają, więc nabyliśmy na dwa tygodnie naprzód, w domu jeszcze, bilety jazdy od jedynego Towarzystwa żeglugi, które towary i pasażerów dwa razy na miesiąc przewozi z Fiume wprost do Sycylii, od węgierskiego Towarzystwa »Adria«.

Pamiętaliśmy z dawniejszych jeszcze z Abbazyi wycieczek wspaniały, największy we Fiume pałac z widnym z portu złotym napisem »Adria«, będący własnością Towarzystwa i siedzibą jego administracyi. Nie pamiętaliśmy wprawdzie, jak wyglądają statki Towarzystwa, ale sądziliśmy, że muszą być liczne, odpowiednio do okazałości pałacu urządzone i że dłuższe spóźniania się statków tego Towarzystwa muszą być rzeczą nieznaną.

Tymczasem mieliśmy doznać niemiłego pod tym ostatnim względem zawodu. Przyjechawszy do Fiume dzień przed terminem odjazdu statku, dowiedzieliśmy się, że statku »Lederer Sandor« nie ma jeszcze w porcie. Idziemy więc po informację do pałacu Towarzystwa. Pięknie umundurowany szwajcar prowadzi przez szereg biur. Stajemy wreszcie przed obliczem ajenta, z którego ust z niemałym zmartwieniem dowiadujemy się, że

odjazd naszego statku ulegnie dwudniowemu co najmniej opóźnieniu. Wskutek strajku robotników portowych w Walencji i wielkiej burzy na wybrzeżach Sycylii statek »Lederer Sandor« spóźnił się o dwa dni w drodze powrotnej i dopiero nazajutrz ma być w Tryeście, za dwa dni zaś we Fiume.

Ajent obiecuje nas dziś jeszcze uwiadomić o terminie odjazdu statku. Ma jednak szczególniejszy sposób zachęcania i pocieszania pasażerów po doznanym zawodzie, na pytanie bowiem moje, czy na pewne spóźnienie terminu odjazdu nie będzie dłuższem, odpowiada grobowym głosem:

— *Nur der Tod ist bei uns sicher, sonst nichts...*

Po kilku długich dniach oczekiwania w nudnem Fiume, urozmaicanych tylko codziennemi wycieczkami do Abbazyi, doczekaliśmy się nareszcie przybycia »Lederer Sandora« i kilka godzin przed odjazdem byliśmy już z kuframi na pokładzie, oczekując niecierpliwie wieczornej godziny odjazdu.

Statek, jak wszystkie podobno tego Towarzystwa, jest niezbyt wielkim, ale doskonałym, w warsztatach angielskich zbudowanym parowcem towarowym, Jest wprawdzie piękny salonik i 10 kabin pasażerskich, lecz przewóz pasażerów traktowany jest, jako uboczne tylko przedsiębiorstwo. Dla kapitana i jego pomocników w komendzie musi być i tak kucharz i służba, chcąc przeto wyzyskać te urządzenia, przeznaczono małą część statku dla pasażerów pierwszej klasy, budując

salonik i kabiny dość obszerne, wygodniejsze nawet, niż na wielu statkach czysto pasażerskich.

Przed odjazdem jeszcze dano w saloniku kolację, która na punkcie kuchni uspokoiła zupełnie obawy. Z niepokojem za to śledzimy potem z pokładu coraz gwałtowniejsze uderzenia wiatru i błyskające w oddali poza portem spienione grzbiety fal.

W półtorej godziny po wyjeździe idziemy spać; nie mieliśmy jednak zasnąć tej nocy. W miarę, jak zbliżamy się ku cypłowi Istrii, zaczyna nas trapić coraz większe kołysanie, które na wodach przesmyku Quarnero staje się tak gwałtownem, że trzeba się trzymać silnie krawędzi szuflad sypialnych, by nie wypaść! Szalony świst wiatru, głucho uderzania fal, stękanie i skrzypienie wszystkich wiązań statku, to obok gwałtownego kołysania dostateczny powód, by do rana oka nie zmrużyć. A gdy przyszła po długiej bezsennej nocy upragniona chwila, że można było wstać, było jeszcze gorzej. Ubieranie się wśród ciągłego tracenia równowagi i obijania się o ściany kabiny staje się istną pracą Syzyfa.

Po długim borykaniu się, przykrywszy nabyte przy tej sposobności sińce ubraniem, wychodzimy do salonu, gdzie już zastajemy dwóch naszych towarzyszy, pana P. i majora S. przy herbacie. Obu bladych, zmęczonych, po przebytych napadach morskiej choroby. Obaj w fatalnych humorach. Jest i piąty pasażer, który wczoraj

wsiadł na statek w ostatniej chwili i zdołał nam się tylko przedstawić, wymieniając pięknie brzmiące węgierskie nazwisko. Dziś przy świetle dniem wydaje nam się mniej autentycznym magyarem. Jedzie z nami tylko do Bari, gdzie zostaje dłużej w interesach handlowych swego pryncypała we Fiume. Kapitan wyjaśnia nam później, że jest to *ein Kronenungar*. W myśl bowiem asymilacyjnych ustaw węgierskich, może sobie każdy obywatel za takse i koronową zmienić nazwisko i może się nazwać np. Esterhazy. Tylko w końcowej literze musi być zachowaną jakąś różnica, której jednak przy wymawianiu nazwiska nie słyhać. Kapitan i obaj jego pomocnicy w komendzie są Chorwatami. Wszyscy trzej przesadzają się po prostu w uprzejmości dla nas, uprzejmości nie tyle z obowiązku płynącej, co raczej z tego wewnętrznego ukontentowania, że będą mieli przez parę dni rozrywkę i towarzystwo.

Po śniadaniu i godzinnej może pogawędce z kapitanem, w której jednak nasi towarzysze, doprowadzeni kołysaniem statku do zupełnej osowiałości, nie biorą udziału, proponuję, byśmy wyszli na świeże powietrze, na pokład, pamiętając, że jeszcze w czasie dawniejszych morskich podróży tylko przebywanie na pokładzie ratowało mnie od morskiej choroby.

Ubieramy się ciepło i próbujemy wyjść. Lecz to nie tak łatwo. Drzwi na pokład nie dają się otworzyć, bo silniejszy od nas wszystkich pęd

wiatru wtłacza nas z niemi z powrotem. Za radą kapitana zwracamy się do drugich drzwi, po przeciwnej od wiatru stronie. Wychodzimy, trzymając się konwulsyjnie poręczy. Lecz ledwo zrobiliśmy parę kroków i minęli zasłaniającą nas od wiatru klatkę salonu, wiatr zrzuca mi i tłucze pincenez; jeden z towarzyszy się przewraca, drugi cofa się coprędzej w tył za ścianę, kapitan ratuje tymczasem moją żonę, zachęcając nas równocześnie do przejścia kilkunastu tylko kroków i paru schodów na oszklony częściowo i chroniący przez to przed wiatrem pomostek kapitański.

Po niemałych trudach dostajemy się tam i stłaczamy się wszyscy w ciasnej szklanej klatce komendanta. Na okół jednak, wśród niesionych wichrem tumanów śniegu nie widać nic, tylko przelewające się co chwila przez leżący pod nami pokład fale. Wicher mroźny, choć nie wprost na nas, dostaje się jednak z boku. Siedzieć niepodobna, bo się kostnieje, stojąc zaś na nogach, utrzymać się trudno. Prowadzący w tej chwili statek młodszy porucznik rzuca nam na pocieszenie, że mamy »borę« najgorszego rodzaju. Na nerwy źle zaczyna działać widok podnoszącego się w niebiosach, to spadającego w otchłań przodu statku. Przy pomocy kapitana, zmoczeni i zziębnięci, wykonujemy odwrót do salonu.

Po obiedzie, którego oprócz kapitana i mnie nikt nie tknął, proponuję, byśmy zagrali kilka robrów »bridge'a«. Ale wśród ogólnego przygnę-

bienia nie spotykam zbyt dużego entuzjazmu. Zaczynamy jednak grać. Kapitan »kibicuje«. Idzie to jednak opornie. Odrzuca się nie do koloru. Co chwila to jeden, to drugi partner składa karty i łapie się za głowę. Kapitan nie może powstrzymać objawów wesołości. Wreszcie major S. zrywa się i ucieka do kajuty. Gra przerwana, i nie próbowaliśmy już więcej mimo zachęty kapitana na nowo jej podjąć.

Wszyscy chorują w swych kabinach. Zdrów dotąd, udaję się do łazienki wziąć kąpiel. Zamiar mój jednak skończył się silnym potłuczeniem i kąpielą w ubraniu. Probując ręką ciepłotę wody w wannie straciłem równowagę i wpadłem na głowę do wanny.

Pod wieczór zapowiada kapitan, że koło 7 rano zatrzymamy się nadprogramowo w porcie Malfetta. Ma przyjąć ładunek; po godzinnym jednak postoju popłyniemy dalej do Bari, gdzie zamiast o 8 staniemy o 11 przed południem i gdzie będziemy do wieczora.

Obiecuje również lepszą na jutro pogodę.

Jakoż noc drugą mieliśmy o tyle lepszą, że nad ranem spaliśmy nieco; obudziliśmy się dopiero wśród niezwyklej ciszy i braku wszelkiego kołysania w porcie Malfetta. Wybiegłem na pokład. Staliśmy na kotwicy przy samem wejściu do portu. Wokoło roje łodzi obładowanych jakimiś kwadratowymi wielkimi pakunkami, które nasza winda parowa przenosi i spuszcza na dno statku. Są to sprasowane i odpowiednio powiązane kupy

szmat. Ładowanie idzie bardzo szybko. W przeciągu godziny wpakowano nam do żelaznego brzucha zawartość kilkunastu łodzi. Zaczynamy ciągnąć kotwicę, i odpływamy żegnani dzwonami kościołów mało widzialnego, bo spowitego w mgłę porannej 50 tysięcznego miasta Malfetta.

Wypływając z portu, stwierdzamy, że wiatr się zmienił. Nie ma już ani śladu strasznej borydmie natomiast silny wiatr od południa. Na falach nie widać już też wczorajszych ryczących i spienionych grzbietów. Morze jednak nie jest spokojne; tylko zamiast wielkich spienionych fal porusza się miarowo w zaokrąglone wielkie wały wodne.

Kołysanie statku nie mniejsze z pewnością jak wczoraj, tylko jakieś inne, szersze i więcej miarowe, bez tych raptownych i niespodzianych nachyleń, które wczoraj tak często z nóg zwały; Odzyskujemy też dobrą myśl i humor w miarę, jak wśród widnych wyraźnie przez cały czas jazdy od Malfetta płaskich brzegów zaczynają się coraz wyraźniej rysować kontury najpierw latarni morskiej, potem wieże kościołów i kontury budynków 80-cio tysięcznej stolicy Apulii.

Gdy po dość karkołomnem zejściu po kładce z wysokiego pokładu statku na niskie »molo« portowe, stajemy przecie na lądzie, odzyskują i nasi towarzysze humor i werwę, ciesząc się wraz z nami na widok gromady obdartych chłopców, jaka nas w wązkich i ciemnych uliczkach starego miasta otacza, na widok setek kóz, leżących i sto-

jących melancholijnie na wszystkich uliczkach i nie chcących ustępować z drogi. Nie gniewa nas bynajmniej ani natarczywość lazzaronów, z których jednego bierzemy wreszcie na przewodnika, ani niemiłe bardzo zapachy zapługawionych zaułków.

Obserwując fronty starych domów o wybitnie orientalnym charakterze, przedostajemy się nareszcie na wielkie place i proste, szerokie, dość czyste ulice nowego miasta.

Bari bowiem składa się z dwóch zupełnie od siebie różnych części: starego miasta, będącego obecnie dzielnicą portową, zamieszkałego przez ludność robotniczą, o wązkich, ciemnych, zapełnionych przeważnie kozami uliczkach, między którymi tu owdzie widać kobiety i dzieci, bo męska ludność zatrudniona w porcie lub też łowieniem ryb w bardzo pod tym względem bogatej zatoce — i z nowego miasta, zbudowanego w banalnie regularną szachownicę. Nie brak w tem nowem mieście wielkich i bogatych, ale przeważnie szablonych gmachów. Nowy budynek pocztowy, z wielką oszkloną halą w środku, jest idealnym, jako wzór jasności rozkładu, czyniącego wszelkie informacye, gdzie się z czem zwrócić, zbędnymi. Niemniej jednak z zewnątrz wygląda jak koszary. Brzydkim jest również ogród miejski »Giardino Garibaldi«. I oprócz zaprzęgów, używanych przez tutejszych dorożkarzy. wielkich, na pasach osadzonych landauerów, przypominających żywo mody z przed lat 40, zaprzężonych mułami w ja-

skrawej uprząży, z pióropuszcami na łbach, niema nic zresztą zajmującego w nowem mieście.

Po obiedzie w polecanej przez kapitana restauracji »Risorgimento«, zapełnionej całym tutejszym korpusem oficerskim i kilku jenerałami, wracamy przecież do starego miasta, w którem skupia się wszystko, co jest w Bari oryginalnego.

Zwiedzamy więc katedrę z XI wieku, wspaniałą istotnie budowlę o wybitnie bizantyńskim charakterze zeszpeconą jednak mocno późniejszymi z XVIII wieku przeróbkami. Kilka obrazów Tintoretta i Veronese'a oraz obwieszony cały wotami obraz Matki Boskiej Konstantynopolitańskiej, okazuje »custode«. Ciekawszym dla nas drugi kościół »Św. Mikołaja« z XI również wieku z bogatymi grobowcami bizantyńskich pielgrzymów i z najwięcej nas interesującym grobowcem ostatniej panującej księżnej Bari, i królowej polskiej, Bony Sforza.

Bez pietyzmu dla tej królowej, oglądamy jednak z uszanowaniem wspaniały grobowiec, strzeżony przez marmurowe postacie wielkich polskich świętych, Kazimierza i Stanisława. Kupujemy od »custoda« kartki z fotografią grobowca Bony, by przesłać na nich znajomym w kraju przysłowioną nowinę »że królowa Bona naprawdę umarła«.

Po zwiedzeniu jeszcze architektonicznie niezwykłego małego kościółka S. Gregorio, niegdyś pałacowej kaplicy bizantyńskiego katapana, wybieramy się, korzystając z pogody na dalszą przechadzkę za miasto w celu zwiedzenia starego

cmentarza. Wydobywszy się poza ostatnie domy miasta, idziemy razem z licznymi gromadami wieśniaków, wracających z miasta, mijając ciągle pędzone do miasta w świetlistej od słońca kurzarwie stada kóz. Przechadzka, urozmaicona spotykanyimi po drodze typami; zabrała jednak tyle czasu, że na cmentarzu zapadający już zmrok nie pozwolił zwiedzić dokładnie całego labiryntu starych, nie rzadko prześlicznych grobowców dawnych patrycyuszów baryjskich.

Statek nasz miał podnieść kotwicę o 7 wieczór. Niebawem znaleźliśmy się z powrotem na pokładzie, witani przez kapitana zrobioną nam nadzieją pięknej pogody i spokojnej dalszej podróży.

Catania, 7 lutego.

Przy cudownej istotnie pogodzie odbywaliśmy dalszą podróż. Z początku wprawdzie dawało się nieco we znaki kołysanie, którego powodem była tym razem nie bora lecz dla odmiany sirocco; po północy jednak wiatr złagodniał. Późno zjawiliśmy się na drugi dzień we wspólnym salonie z tem jednak miłym uczuciem, że można swobodnie przechadzać się po pokładzie.

Rano uśmiechały się nam w oddali wybrzeża, stanowiące »obcas włoskiego buta« z pięknie położonem miasteczkiem Otranto, pod wieczór zaś obserwowaliśmy ozłoczone zachodzącem słońcem góry i miasta Kalabryi.

Z dala widać miasteczko Cotrone ze starym zamkiem z czasów Karola V; mijamy cały szereg mniejszych osad nadbrzeżnych, słynnych niegdyś w historii osadnictwa greckiego. Słońce skryło się już dawno poza dalekie skały pasma Aspromonte, noc zapadła. Staliśmy długo zapatrzeni w gasnącą i ciemniejącą coraz bardziej dal morza Jońskiego i w światła mieszkań ludzkich, czepia-

jących się tu i ówdzie skalistych stoków kalabryjskiego brzegu. Dopiero przypomnienie schodzącego z pomostku przy zmianie warty kapitana, że o 5 rano staniemy w Catanii, skłoniło nas do udania się na spoczynek.

Wjazd do portu w Catanii zaspaliśmy też tak gruntownie, że dopiero w dwie godziny po wpłynięciu do portu mogliśmy opuścić kabiny. Wybiegamy na pokład.

W rannem słońcu świeci się tuż przed nami ogromna, śniegiem okryta Etna z pióropuszem dymu. U jej stóp wielkie pięknie położone miasto; a bliżej kominy parowców i cały las masztów statków rybackich w porcie. Lecz nie było czasu na dłuższe podziwianie widoku z pokładu, który należało niebawem opuścić. Nie chcąc się dać wyzyskiwać przez gromady czyhających już lazaronów, postanowiliśmy udać się najpierw bez rzeczy do wybranego za poradą kapitana hotelu. W ten sposób pozbyliśmy się kłopotu o dostawę rzeczy; czekała nas tylko niemała mitręga w urzędzie celnym.

Już to celnicy włoscy w Catanii — »dogania-cze« jak ich z włoska po polsku nazwałem — nie muszą mieć wielkiej wprawy w swym fachu, a za to bardzo dużo wolnego czasu, skoro na deklarację, że mamy w kufrach kilka pudełek papierosów i tytoniu i że chcemy należytość celną opłacić, zachowali się tak, jakby to było coś niesłychanego i jakby zupełnie głowy potracili. Zbiegło się ich do naszych kufrów kilkunastu;

nad wydobytemi pudełkami papierosów złożyli długą i wrzaskliwą naradę, gestykułując żywo i patrząc na pudełka z takim przerażeniem, jakby w nich co najmniej znajdował się dynamit. Wreszcie po przewertowaniu przepisów celnych i przybrawszy do narady jakiegoś w cywilnym ubraniu urzędnika, zważyli paczki tytoniu i obliczyli należność celną. Utknęli jednak na papierosach.

Zważywszy wszystkie pudełka razem, rozpoczęli znów naradę, której wynikiem było wysypanie papierosów z jednego pudełka i zważenie pustego pudełka osobno. Wynikiem zaś następnej narady było odłamanie munsztuków od wyjętych to papierosów i znowu zważenie ich osobno. Potem dopiero nastąpiło obliczenie należności, po potrąceniu wagi pudełek i munsztuków papierowych. Wszystko to było dowodem wielkiej sumienności »doganiaczy« i wyszło ostatecznie na korzyść naszych kieszeni, trwało jednak blisko godzinę, a nagadano przytem tyle, żeby wszystkie razem przekupki na krakowskim Małym rynku z kretesem były zakrzyczane.

Oddawszy uwolnione nareszcie z »dogany« kufry w ręce posługaczy hotelowych, poszliśmy sami piechotą. Na pięknych i szerokich stosunkowo ulicach, w tej przedpołudniowej porze więcej kóz jak ludzi. Należy jednak przyznać, że od południa zmieniał się radykalnie ten stosunek. Po południu nie napotykalśmy nigdy Kóz a i ślady ich rannego pobytu — były troskliwie usuwane.

Miasto zaraz na pierwszy rzut oka czyni bardzo korzystne wrażenie. Domy, z lawy przeważnie budowane, wiele okazałych prawdziwie, z ciosowego kamienia i lawy pałaców, liczne place, pełne zieleni i skwerów. Piękne trawniki, otoczone murkami z odbijającej ładnie od zieleni czerwonej lawy. Wspaniałe zamknięcia szerokich i prostych ulic, na których końcu widnieją wszędzie to fronty kościołów lub gmachów publicznych, pomników, starych bram lub kolumn, to znów bardziej jeszcze malownicze naturalne zamknięcia widokiem na lazury morza jońskiego, urwiste przylądki stężalej w fantastyczne kształty lawy, lub biały stożek Etny. Szczególnie piękną pod tym względem jest szeroka, prosta, od placu katedralnego lekko w górę idąca, a 3 kilometry długa Via Etena, zamknięta na górze widokiem na białą, dymiącą piramidę Etny.

Znać, że miasto burzone kilkakrotnie w ciągu wieków strasznymi trzęsieniami ziemi, nie tracąc swego charakteru, odbudowywało się z planem, z artystyczną myślą wyzyskania wszystkiego, coby je trwale upiększyć mogło.

Prawda, że wskutek tych trzęsień ziemi, nie zachowało się w Catanii nic prawie ze starożytnych greckich lub rzymskich architektonicznych zabytków. Tutejszy »Teatro greco« siedzi tak głęboko w lawie, że tylko ze światłem zwiedzać go można, jak jaką podziemną grotę i nie można mieć wiele wyobrażenia o całości. Podobnie ma się rzecz z zabytkami rzymskimi, jak szczątkami

łażni rzymskiej pod kościołem Karmelitów i resztkami rzymskiego Odeum.

Catania w obecnej swej postaci datuje się właściwie od końca wieku XVII, t. j. od ostatniego wielkiego trzęsienia ziemi, które pół miasta zmieniło w ruinę tak, że nawet katedra z XI wieku musiała być częściowo przebudowywaną, a istniejący od XI wieku największy w Sycylii kościół S. Nicola musiano z początkiem XVIII wieku całkiem na nowo odbudowywać.

Od tego czasu jednak mimo licznych co parę lat się powtarzających wybuchów Etny, większe trzęsienia ziemi oszczędzały miasto, które też rośnie szybko, jako stolica i port najżyźniejszej i najbogatszej części wyspy, skąd idzie w świat ogromna ilość zboża, wina, pomarańcz, cytryn, migdałów, jabłek, a przedewszystkiem olbrzymie ładunki siarki.

Miasto liczy obecnie około 160.000 mieszkańców; ma wielki, bogato uposażony uniwersytet i akademię umiejętności dla nauk przyrodniczych, dobrze podobno dla nauki zasłużoną.

Spożywając po południu śniadanie w »Grande Bretagne,« dowiaduję się od właściciela hotelu, że trafiliśmy bardzo szczęśliwie, bo na wielkie najuroczyściej ze wszystkich obchodzone święto patronki i wybawicielki miasta św. Agaty.

W połowie XVII wieku, gdy wśród gwałtownego wybuchu Etny płynął wprost na miasto olbrzymi strumień lawy, wystawiono wtedy welon św. Agaty. Strumień przed samem miastem zwró-

cił się, okalając miasto, i stoczył się do morza, zwięzając tylko port. Na tę pamiątkę obchodzi się dzień św. Agaty wielką procesją, w której ludność Catanii i okolic tłumny bierze udział, wieczór zaś odbywają się na placach miasta zabawy ludowe i ognie sztuczne.

Zaraz też po śniadaniu wybieramy się na uroczystość; wnet utonęliśmy całkiem w różnobarwnych i rozbawionych tłumach, wypełniających szczególnie plac del Duomo oraz przyległe Giardino Pacini i Corso Vittorio Emanuele.

Wśród rozdzierającego uszy gwaru zdołaliśmy się wreszcie dostać do wnętrza katedry, gdzie nie było już takiego, jak na placu ścisku, ale też nie miało się wrażenia, że to kościół. Odbywał się tu prawdziwy jarmark. Kilkadziesiąt oświeconych kandelabrami stolików z tacami na pieniądze, z nawołującymi do datków pieniężnych, najpięknieszymi, jak się zdaje, paniami i pannami Catanii; naokoło krążący tłum młodych i eleganczkich mężczyzn. Kwesta jak jarmark gwarna i hałaśliwa; głośno reklamowano i sprzedawano losy, przy drzwiach sprzedawano książki, obrazki, chorałki, zabawki strzelające i szmermele.

Rozpoczęły się wreszcie nieszpory, gwar ścichł trochę, światła na stolikach pogasły, w kościele jednak zaczął się robić taki ścisk napływających z zewnątrz tłumów, że uznaliśmy za bezpieczniejsze, przyłączywszy się do większej grupy pań od stolików i skarotowanych panów, opuścić bocznymi drzwiami kościół.

Przepychając się wśród tłumów, wypełniających wciąż plac i ulice, przeciskamy się nie bez trudu na Piazza Dante, przed kościółek św. Agaty i olbrzymi kościół S. Nicola z zamiarem, by wyjść na wysoką wieżę S. Nicola i z góry widzieć przesuwające się wszystkimi ulicami procesyje. Lecz po długiej dopiero chwili, gdy procesyje już wyruszyły i tłum się przerzedził, zdołaliśmy odszukać custoda i dostać się na płaską terasę wieży, gdzie zastajemy już kilkanaście osób, przeważnie Angielek.

Rzuciwszy okiem w około, zapominamy o procesyi, o rozwiniętej przy tem pompie, o ciągnących przez ulice lasach chorągwi i tłumach. Nad nami, na północnym zachodzie olbrzymia Etna, nie biała, lecz tym razem błękitnawa na tle złotego nieba. Obok na zachodzie czarna masa skał, po za którą zaczyna się już kryć słońce; na południe wielka Catańska równina, sławne, jeszcze przez Cycerona jako *„uberrima pars Siciliae“* sławione pola. Z drugiej strony ciemno-szafirowa pustynia Jońskiego morza i wspaniałe zwłaszcza na północ wybrzeża, z dziko poszarpanymi czarnymi przylądkami z lawy, z ozłoconymi zachodzącem słońcem, podobnymi do naszych Tatr, szczytami po za Taorminą; ku wschodowi nieco zamglone kontury wybrzeża Kalabrii i szczytów Aspromonte. A pod nami ukryte już do połowy w cieniu miasto z jasno jeszcze oświetloną dzielnicą portową, z wieńcem zielonych ogrodów i

gajów, ciągnących się daleko wzdłuż wybrzeży aż pod stoki gór.

Patrzemy, oparci o kamienną balustradę płaskiego dachu. Angielki już dawno zeszły, a custode daje coraz wyraźniejsze oznaki zniecierpliwienia. Procesya, okrążywszy miasto, wracała już i rozdzielała się, dążąc z chorągwiami do wszystkich kościołów, zmrok zapadał i na dole błyskały już światła, gdy zdecydowaliśmy się wreszcie zejść z wieży i wynagrodziwszy odpowiednio custodowi długie czekanie, wrócić do hotelu.

Po wieczornym obiedzie, krążymy jeszcze wśród rozbawionych tłumów, wśród młynków ognistych, rakiet i świec rzymskich, zapalonych na uciechę młodych pokoleń Catanii w nadmorskim Giardino Pacini. Jedyłą nieprzyjemną stroną tej zabawy ludowej, to raptowne, wesołe popłochy i ścisłki, wywoływane przez rzucone w tłum, nieszkodliwe, pękające jednak z wielkim hukiem petardy, t. zw. żabki strzelające.

Pierwszy ten dzień w Sycylii, miłem na długo zostanie nam wspomnieniem.

Następnego dnia rano wybieramy się na miasto z aparatem fotograficznym i Baedekerem, dla dokonania zdjęć fotograficznych oryginalnych bardzo typów ludności robotniczej w porcie, oraz dla zwiedzenia kilku kościołów. Ale aparat fotograficzny, a zwłaszcza czerwony Baedeker nie jest wcale ułatwieniem w zwiedzaniu miast włoskich. Nigdzie też nie przekonaliśmy się o tem tak dobitnie, jak w Catanii.

Ledwo opuściliśmy hotel, już przyczepiło się kilku chłopaków, zebrząc natarczywie, ofiarowując usługi i zasypując gradem pytań. Pędzeni energiczmem »passa via«, nie dają się jednak zniechęcić i towarzyszą dalej coraz liczniejszą gromadą. Konwojują nas dziewczęta z kwiatami, wypychając swój towar, »vetturini« zajeżdżają ustawicznie drogę, kiwając poufale, lub jadąc za nami uparcie. Z takim pieszym i jezdnyim hałaśliwym orszakiem docieramy nareszcie do portu.

A gdy chcemy fotografować, wtedy dopiero zaczyna się uciecha!

Po kilku naraz chłopaków skacze przed obiektyw Kodaka, wykrzywiając się, pokazując języki lub jeszcze mniej ciekawe części ciała. Rozśmieszeni, ale i zniecierpliwieni tem nareszcie, chronimy się przed prześladowającą gawiedzią do kościoła S. Nicola i dłużej, niżby tego dokładne zwiedzenie ogromnej barokowej świątyni wymagało, siedzimy tam, by się czekająca gromada dzieciaków nareszcie rozeszła.

Popołudniu, ugodziwszy dwóch wetturinów, wybieramy się na zwiedzanie ogrodów. Humory jednak popsute, gdyż zaczyna się chmurzyć i ciepłe poprzedniego dnia powietrze raptownie się oziębiło. Etna gdzieś znikła; w kierunku, gdzieśmy ją rano jeszcze widzieli, kłębią się tylko ciemne zwały chmur.

Nie zachwycił nas przy tem wcale sławiony ogromnie w Baedekerze ogród Bellini, położony pięknie i bogaty w wielkie okazy palm, arauka-

ry i innych pięknych drzew, ale przeładowany jaskrawymi od kolorowych szkieł altanami, mnóstwem kłębów dywanowych, nie pozostawiających miejsca na trawniki, oraz ogromną ilością marmurowych popiersi znakomitych obywateli miasta i innych włoskich wielkości.

Nigdzie jednak nie drażni więcej sycylijskie zamieszanie kolorowego przepychu, jak na zwiedzonym już pod wieczór cmentarzu, wielkim Campo Santo Catanii. Ponura była droga, którą jechaliśmy, okalając miasto od zachodu, ponura czarną barwą i dzikimi, wszelkiej wegetacyi pozbawionemi złomami lawy na wielkich, setki hektarów zajmujących przestrzeniach. Może też i brak słońca przyczyniał się do smutnego wrażenia, jakie wywiera ta wielka wulkaniczna pustynia. Tembardziej też krzyczącą i niesmaczną wydać się musi prawdziwa orgia najjaskrawszych barw, zdobiących szeregi ustawionych jak wojsko w kilka rzędów kaplic grobowych na Campo Santo. Najprzeróżniejsze kombinacye mozaiki z kolorowych szkiełek na zewnątrz, najdziwaczniejszy dobór lawy, kamienia, cegły i marmurów wszelkich barw i odcieni dla wywołania krzyczących kolorystycznych efektów, odpowiednia polichromia wewnątrz kaplic, oto czem się odznacza większość tych grobowych monumentów. Znać prześciganie się w jaskrawych ozdobach dla zwrócenia uwagi, czy na bogactwo czy na wielkość rodu żyjących potomków tych, co tu spoczywają. Widocznie nie tylko na corso bogatym z wiel-

kimi na wszystkie strony herbami ekwipażem, ale nawet na cmentarzu swą rodzinną kaplicą grobową pragnie sycylijski szlachcic-parweniusz zaćmiewać innych, nawet i tu pragnie *far una figura*.

Raptowny deszcz ze śniegiem zmusza do szybkiego powrotu. Mamy wrażenie, że to nie Sycylia, ale północne stoki naszych Karpat, na których w d. 6 lutego nikogo by nie zdziwiła taka aura i takie zimno przenikliwe.

Z zamierzonej na jutro wycieczki do Nicolosi, położonego wysoko na stoku Etny, trzeba będzie zrezygnować, bo tam śniegiem do jutra zawieje. Wycieczkę na szczyt Etny zaraz po przybyciu do Catanii odradził właściciel hotelu, twierdząc, że w zimie nikt na Etnę nie chodzi z powodu ogromnych śniegów i częstych, wprost dla życia niebezpiecznych burz śniegowych.

Postanawiamy więc, jeżeli ulewnego deszczu nie będzie, pojechać następnego dnia rano na dalszą wycieczkę do Acicastello dla zwiedzenia zamku i wysepek Cyklopów.

Jakoż trzeci dzień w Sycylii okazał się łaskawszym. Przy przejmującym zimnie jasno jednak świeciło słońce; z pośród idących dołem chmur wyraźnie wyłaniał się błyszczący stożek Etny, gdy wyjeżdżaliśmy z miasta drogą ku północy.

Minąwszy po drodze cały szereg fabryk siarczanych i mnóstwo dwukonnych wozów, wiozących to miał siarczany w workach, to surową w bryłach, to przetopioną już w podłużne prostokąty siarkę, i wydychawszy duszący zapach

unoszącego się w powietrzu żółtego pyłu, przejeżdżamy z kolei koło jakichś fabryk przetworów owocowych, najpierw fabryki kwasu cytrynowego z wielkimi kupami cytryn na błocie, potem koło całkiem niesympatycznej fabryki kandyzowanych skórek pomarańczowych z ogromnemi zapasami brudnych, gdzieś po śmieciach zbieranych skórek na podwórzu. Mijamy dalej całe szeregi dzikich postaci z poobkręcanemi w szale i szmaty szyjami i głowami, prowadzących zaprzężone w muły lub osły jaskrawo malowane dwukołowe wózki. W wózkach tych jarzyny, owoce i kobiety, niektóre bardzo piękne.

Minąwszy wreszcie ostatnie domki i ostatnie suszące się na wietrze szmaty, wyjeżdżamy nad morze.

Morze dziś inne. Nie znać na tej bezgranicznej przestrzeni ani wody, ani fal, ani żadnego ruchu, bo nad powierzchnią wody osiadły gęsto kłębiaste mgły, jak potargana wata, z pomiędzy której gdzieniegdzie tylko mdławo przebłyskuje w słońcu jaśniejsza fala. W górze jednak powietrze czyste, niebo błękitne. Z drugiej zaś od morza strony rozpoczynają się za ostatniemi podmiejskiemi domkami wielkie gaje cytryn z nalepionym gęsto złotym owocem, całe lasy pomarańczowe, przerywane grupami migdałów w kwiecie.

Droga po chwili oddala się od morza. Gaje mamy z obu stron. Schodzą one miejscami prawie aż do morza, w górę zaś ku Etnie ciągną się wysoko, a jeszcze nad nimi widać inne plantacje

obnażonych z liścia kwitnących drzew, jak się zdaje jabłoni. Rozpoczął się już widocznie zbiór cytryn, bo widzimy od czasu do czasu wielkie kupy owocu i zajęte przy obieraniu dziewczęta.

Po godzinnej prawie jeździe wśród gajów rosnących na czarnej, ze zwietrzałej lawy wytworzonej ziemi, zaczynają się ukazywać coraz częstsze przerwy w gajach, nienadające się jeszcze do kultury potoki nie zwietrzałej lawy. Przez te przerwy, jak przez okna, odsłaniają się coraz to inne widoki na Etnę z jednej, a z drugiej strony na oczyszczające się powoli z oparów świetliste morze.

Potem urywają się gaje. Wśród złomów nienadającej się jeszcze do plantacji drzew, ale już zieleniejących tu i ówdzie bujną trawą przestrzeni lawy, widać pasące się piękne czerwone bydło typu jednakowego w całej Sycylii, podobnego zupełnie do naszej rasy czerwonej polskiej, oraz liczne stada kóz. Wielkie zainteresowanie budzą w nas pierwsze spotkane świnie. Ogromne, czarne, ze zjeżoną na grzbiecie szczecią, na wysokich nogach z ogromnemi łbami i długimi, prostemi ryjami. Zupełnie nasze dziki. Chciałbym mieć takie stado, by je kiedy w zimie na polowaniu, gdy dzików niema, puścić w knieję na niespodziankę dla myśliwych. Z pewnością żadnej z takich świń nie darowanoby w miocie życia.

Wśród takich »dzikich« myśli dojeżdżamy do olbrzymiej, czarnej, zapewne siłą wulkaniczną w morze wepchniętej skały, na której szczycie górują fantastyczne ruiny w Acicastello.

Odszukawszy odźwiernego, drapiemy się pod górę zygzakowatą, w skale wykutą ścieżką, podziwiamy chwilę z baszty straszliwą przepaść i rozbijające się głęboko pod nami fale, obserwujemy sterczące dalej z morza poszarpane skały cyklopów »Scogli de' Ciclopi«, z których największa ma mieć 700 metrów obwodu i 60 metrów wysokości ponad poziom morza.

Nie lada cyklop był ten Polifem, co takimi kamyczkami bombardował zmykającego w swej nawie Odysseusa.

Nagły deszcz zmusza jednak do ukrycia się w jakiejś framudze. Tymczasem nie wiele umiał powiedzieć towarzyszący odźwierny o historii tych ruin. Twierdził tylko, że z końcem XIII w. bronił się w tym zamku Roger Loria oblęgającym go wojskom Fryderyka II. Ale kto zamek założył, nie wie. Pewnie cyklopi.

Nie chcący ustać deszcz zmusił nas następnie do odwrotu. Kazawszy podnieść budy powozów, wracamy zasępieni do Catanii, skąd dziś jeszcze popołudniowym pociągiem odjeżdżamy do Taorminy.

Taormina, 10 lutego.

Jadąc koleją z Catanii do Taorminy, zbliżamy się coraz bardziej do Etny, której wierzchołek i stoki okazują się chwilami w całej okazałości w otwierających się nagle i znów zamykających oknach z chmur. Więcej nas interesują zmieniające się coraz kształty zawieszanej tuż nad nami Etny, niż szumiące po drugiej stronie morze, a choć ciąga gra w ślepą babkę białej góry z chmurami ukrywa nam ją zupełnie, niemniej jednak te nagłe odkrycia to stoków, to znów tylko jakby zawieszonego nad chmurami białego dymiącego czubka, mają tem więcej czarodziejskiego jakiegoś uroku.

Mijamy pięknie położone, duże miasto Acireale. Stąd już jedziemy ciągle przez olbrzymie pola i potoki czarnej lawy, gołej gdzieniedzie i bezpłodnej, to zieleniejącej trawą, to zakulturowanej już setkami młodych pomarańczowych i cytrynowych drzewek. Wyżej nad nami, ku Etnie, widać rozsiane wsie, budowane na lawie i z lawy. Mieszkańców tych okolic nie straszy wulkan, na

którego stokach osiedli. Ta Etna, choć im ciągle grozi zagładą, dostarcza jednak obficie środków do życia. Grozi czasem, ale żywi stale.

Daje im ogromne bogactwo siarki, którą zaopatrują pół świata, w postaci lawy dostarcza wybornego materiału budowlanego, a zarazem niesłychanie żyznej gleby, bo wietrzejąca setki lat lawa zamienia się w ziemię czarną, we wszystkie potrzebne dla vegetacji roślin składniki, a przede wszystkim w potaż i fosfor zaopatrzoną. Nie tylko najpyszniejsze pomarańcze, mandarynki, cytryny i migdały, ale wyżej, w chłodniejszej już strefie, rodzi się obficie na tych wulkanicznych tufach ogniste wino etneńskie; wyżej jeszcze wyborne orzechy i sławne sycylijskie żółte podłużne jabłka, których nie można się odjeść poprostu i wobec których w kąć wszystkie najlepsze tyrolskie kalwile.

Przytem ta Etna ściąga z całego świata turystów, z których większa część przyjeżdża tutaj dla klimatu i dla Etny, a nie dla starych ruin greckich, w których rozmiłować się mogą mniej liczni chyba znawcy i amatorowie.

Po godzinnej jeździe pociąg zatrzymuje się na stacyi w Giarre. Przed nami ładne trzydziestotysięczne miasteczko. Nad głowami Etna. Stąd podobno w porze letniej pięć godzin czasu wystarczy, by się wydrapać do krateru.

Pociąg rusza; zaczynamy się oddalać od Etny. Przez liczne znowu potoki lawy i mosty nad fumarami (kamienistemi łożyskami suchych poto-

ków), mając przed sobą ostre zarysy dziko poszarpanych turni, minąwszy jeszcze stację Calatabiano i wielką arabskie nazwisko noszącą fumarę El Kantara, wysiadamy na stacyi Giardini-Taormina. Stąd jednak jeszcze parę kilometrów drogi kołowej, prowadzącej w zakosy pod górę do zawieszanej wysoko na skałach Taorminy.

Prześliczna droga. Kilkakrotnie zatrzymujemy na zakrętach konie, by się nasycić widokiem i tym przepychem ciągle zmieniających się barw, w miarę jak słońce za turnie się kryje i na coraz większą przestrzeń leżącego u stóp, usianego skałami morza ciemno-szafirowy półcień zapada.

Wyjechawszy na górę, raz jeszcze zatrzymaliśmy konie, by się napatrzeć ciemniejącemu morzu i ostatnim blaskom oświetlonych jeszcze szczytów dalekiego kalabryjskiego Aspromonte. Zajechawszy do hotelu Metropole przyjmowani byliśmy jakby starzy znajomi przez zarządzającego hotelem bratanka naszego hotelarza z Catanii. Po wieczornym obiedzie wychodzimy jeszcze do miasteczka, lecz choć po nocy zdołaliśmy w przeciągu pół godziny stwierdzić, że składa się ono z jednej tylko ulicy oraz kilkunastu pouczepianych po skałach hoteli. Spędzeni dojmującym zimnem, wracamy do hotelu na to, by się przekonać, że w naszych pokojach nic nie cieplej jak na ulicy. Przyniesiony termometr wskazuje 3 stopnie R. ponad zero. Pieców ani kominków ani śladu, natomiast wielkie dwuskrzydłowe szklane drzwi, wychodzące na kamienną terasę, wahadło-

we, jak na dworcach kolei, z wielką między oboma skrzydłami szparą, zapewniają niezawodnie doskonałą wentylację, lecz bynajmniej nie chronią od zewnętrznego zimna.

Zwołana służba tłumaczy się, że tu w Taorminie od 30-stu lat nie pamiętają takiego zimna. Jedno tylko mogą zrobić, t. j. dać nam na noc piecyki naftowe.

Widząc, że nie ma innej rady, kładziemy się w ubraniach, przykrywając się czem tylko można i przysuwając do ustawionego między łózkami piecyka.

Rano budzi mię jednak piekielne wprost zimno. Piecyk wypalił się i zgasł. W białem, jakimś dziwnie białem świetle poranka widzę na marmurowej posadzce od szpary między skrzydłami drzwi jakiś biały wałek. Co to? Nadęty do pokoju śnieg! Wyskakuję z łóżka, wdziewam trzewiki, ciepły płaszcz i otwieram drzwi na tarasę.

Wszystko białe, wszystko pod śniegiem! Na terasie, na marmurowym stole, na balustradzie śnieg na kilkanaście centymetrów. Chcę dojść do balustrady, by się rozejrzeć w koło, i wywracam się na obślizłych pod śniegiem marmurowych płytach. Przyślizgawszy się wreszcie do balustrady, widzę, że góry i wybrzeże morskie i gaje pomarańczowe i pióropusze kilku palm uginają się wprost pod śniegiem, od którego białości czarno jak atrament odrzyna się morze.

Prawdziwa ponowa, tylko, że tutaj *vietato cacciare* (nie wolno polować) a zresztą nie ma i na

co polować, by gdy się czasem trafi *una lepre* (zając), to jak o legendzie opowiadają o tem od Etny aż do Messinę i wybierają się z obławą i przygotowaniami, jak na niedźwiedzia.

Po śniadaniu, przy którym nam znowu tłumacza, że jak Taormina Taormina, to czegoś podobnego jeszcze tu nie widziano, czemu jakoś nie bardzo dajemy wiarę, chcemy posłać jednego ze służby hotelowej do sklepu, by nam przyniesiono kilka par kaloszy do wyboru. Nie przypuszczając bowiem, by nam kalosze w Sycylii lub Afryce były potrzebne, nie wzięliśmy ich ze sobą. Kalosze? Co to jest? Zrozumieli nareszcie po rozmaitych określeniach, lecz twierdzą stanowczo, że nigdzie kaloszy nie dostanie, bo ich tu nikt nie potrzebuje.

Nie ma rady; trudno cały dzień siedzieć w zimnym pokoju. Wziąwszy najgrubsze posiadane trzewiki, wychodzimy brnąc w mokrym śniegu. Okrutna zabawa i wesołość na ulicy. Kilku kupców, starych Włochów wyległo ze sklepów i z ogromną pasją lepią na środku ulicy bałwana ze śniegu. Jakiś staruszek bombarduje ich ze śmiechem kulami śniegowemi. Dalej ustawione na przeciw siebie dwa mury, ze śniegu ulepione, z po za których dwie partye mężczyzn i kobiet prowadzą wśród głośnej wesołości bitwę śniegową. Co krok bałwany śniegowe pociesznie przystrojone, wszędzie gonitwa, rzucanie kulami, od których także nam się obrywa, i wpychanie sobie nawzajem mokrego śniegu za kołnierz.

Szybko idziemy przez objęte śniegowym stanem wojennym miasteczko, zdążając przez zasypy do sławnego tutejszego Teatro greco. Do tego samego celu dąży wraz z nami kilku Niemców z kodakami, ciesząc się głośno na tak wyborną sposobność do »Zeitaufnahmen«. Otrzepując po drodze laskami ośnieżone śliczne różowe i czerwone kwiecie, wychylające główki z zasp, ucieszeni pokazującym się z pomiędzy chmur słońcem, stajemy wreszcie przed bramą z napisem: »Ingresso del antico teatro«.

Istotnie, wielkie wrażenie odnosi się wśród tych ruin, tak dobrze jeszcze zachowanych, że bez wysiłku fantazyi można sobie wyobrazić, jak tu było przed półtrzecią tysiącem lat. Ale jako nie znawcą greckich czy rzymskich ruin, nie potrzaskane lub stojące jeszcze kolumny doryckie, nie wiszące jeszcze gdzieś nad nimi architrawy, nie sama oderwana od otoczenia ruina budzi mój zachwyt, lecz przede wszystkim ta wielka całość, wspaniałe otoczenie wraz z ruiną. Jednym z najpiękniejszych w świecie widoków jest niezawodnie ten, co się z górnej części ruin na wszystkie strony roztacza. I podziwiać się musi boski pomysł i odczucie natury tych, co przed tysiącami lat to miejsce na świątynię sztuki obrali.

Nad urwiskami, na których wieszka się Taormina, wznosi się poszarpana turnia, ukoronowana murami zamku starego, a nad nią jeszcze wyżej, o prostopadłych prawie ścianach, olbrzymia skała, na której ściętym wierzchołku wi-

dzi się ze zdumieniem mury, domy, całe miasteczko.

To Mola odwieczna, dawniej niezdojta twierdza Sycylii, odgrywająca przed wiekami ważną rolę w wojennych dziejach wyspy. Ponad tem zaś wszystkim wznosi się jeszcze, podobna kształtem do naszej tatrzańskiej Swinnicy, królowa tych gór, Monte Venere.

Po ośniezonych gdzieniegdzie, na spadzistych jednak stokach wolnych już od tającego raptownie śniegu górach, toczą się w tej chwili ku dołowi szare zwały chmur. Ku południowi, zasłonięta na stokach chmurami, pokazuje sam tylko dymiący czubek Etna. Wybrzeża morskie i śliczne skaliste wysepki zasłaniają w tej chwili gromadzące się pod nami chmury, ale po nad niemi buja oko swobodnie i gubi się po przez arkady i kolumny ruin, stanowiących jakby ramy obrazu, w mleczno-błękitnawej teraz, świetlistej przestrzeni morza. Ku północy widok zasłaniają chmury, z pomiędzy których pokazują się czasem jak majaki, jakby w powietrzu zawieszzone zbocza skał.

Nic piękniejszego w życiu nie widziałem i usiłuję sobie wyobrazić, czy piękniejszym może być ten krajobraz w swej zwykłej klimatowi Sycylii właściwej postaci? Czy ten właśnie kontrast topniejących już teraz i odsłaniających plamy zieleni i kwiecica śniegów, czy te okna w gromadzących się na dole chmurach, czy te oderwane od swych podstaw ponad obłokami widne szczyty gór, czy ta cała niezwykła szata, nie jest raczej

jednym więcej urokiem potęgującym odniesione wrażenia?

Oczyściwszy z topniejącego śniegu kilka kamieni ruin, siedzimy długo, wpatrzeni w grę chmur i przepychy barw.

Ruiny roją się tymczasem i rozbrzmiewają zepsutą mową Schillera. *Bei uns in Sachsenhausen, bei uns in Leipzig* — dolatuje nas z dołu. Widocznie ze wszystkich stron państwa bojaźni Bożej i skromnych obyczajów wysłano tutaj po kilka najbardziej typowych egzemplarzy *des ewig weiblichen* na przyjęcie swej monarchini, której w Taorminie za dwa dni się spodziewają. Wszystkie te niewiasty germańskie piszczą, gestykują, fotografują i zatrzymują się nam przed nosem, zasłaniając widok, aż zniecierpliwieni tem towarzystwem opuszczamy Teatro antico i kupiwszy po drodze trochę fotografii, wracamy przez wodę i przeszkody śniegowe.

W czasie śniadania zastanawiamy się, co robić popołudniu. Przyjechawszy tu wczoraj, układaliśmy sobie wycieczkę na najwyższy w grupie gór Taormińskich szczyt Monte Venere. Lecz teraz, wobec całych wodospadów z niestopniałych jeszcze mas śniegu, niema co o tem myśleć. Przytem i pogoda niepewna. Etna wysyła ku nam coraz to nowe serye chmur, które zrobiwszy swoje, to jest sypnąwszy mokrym śniegiem, spuszcza ją się potem, jakby zmęczone, na dół ku morzu.

Postanawiamy jednak próbować. Drapać się w górę, jak długo się da i wrócić się, jeżeliby

dalsza droga okazała się niemożliwą, lub zbyt męczącą. W każdym razie mamy nadzieję dostać się choć do wiszącej nad nami jak orle gniazdo wsi Mola.

Wychodzimy z hotelu, dopytując się przechodniów o ścieżkę w górę do Mola. Odrazu kilku nastęcza się nam przewodników. Wybieramy małego, ślicznego »ragazzino« imieniem Ancio, który z radością, w podskokach, świegocąc nieustannie, jak wróbel, wiedzie nas bystrą, kamienistą, obślizłą od mokrego śniegu i płynącej wody ścieżką pod górę. Odpočzywamy często, zwłaszcza, że mały Ancio musi przystawać co chwila, by wygarniać ze swych patynków podbijający mu się pod gołe pięty śnieg. *Molto freddo, molto neve* — skarży się ze śmiechem, wymachuje rękami dla rozgrzania i prowadzi dalej.

Ledwo jednak wydrapaliśmy się na wysokość ruin zamku Taormińskiego, gdy nagle zaczyna się naokoło ściemniać. Zrywa się mroźny wichur. To Etna wysłała nową burzę śniegową. Lecz tym razem niema żartów. Wśród wściekłego wichru, bijącego po twarzy, jak szpilkami, ostremi kryształkami śniegu, ściemnia się tak, że o 5 kroków nie widać nic przed sobą w białym tumanie. Po omacku drapiemy się do jakichś na pół zwalonych murów i kryjemy się wśród nich, by przeczekać burzę. Ancio w swych dziurawych spodenkach i niezbyt całej bluzie, naciera z płaczem skostniałe pięty, piszcząc bardzo już teraz żałośnie *molto freddo molto*. Major S. przytula go do siebie okrywając futrem.

Zawierucha przechodzi po kwadransie, chmura już pod nogami, a w górze czyste słońce. Nie można jednak iść dalej w górę. Znow wszystko pod śniegiem i ścieżki nie znać. Wracamy na dół, smagani jeszcze raz w drodze nowemi masami śniegu.

Z przemoczonymi nogami, zziębnięci, klnąc na taką Sycylię wracamy do hotelu, wynagrodziwszy na pół żywego Ancia kilkoma lirami. I pierwszy raz mi się trafiło, że taki włoski *ragazzino* nie żądał, by mu dać więcej, lecz obsypał nas błogosławieństwami.

Postanawiamy skrócić pobyt w Taorminie, gdzie w taką pogodę i wśród śniegu nie było co dłużej robić, i jechać nazajutrz południowym pociągiem do Syrakuzy, gdzie jako w okolicy nie tak górzystej i na samem południu wyspy powinno być przecie cieplej, a przynajmniej, będziemy w większem miasteczku, gdzie łatwiej przetrwać niepogodę.

W nocy, mimo że drzwi na terasę jakimś grubym wołokiem zasłonięto, i mimo wielkiego piecyka naftowego, marzniemy znowu porządnie. Jeszcze nigdy i nigdzie nie zdarzyło mi się tak marznąć, jak w Sycylii.

Na drugi dzień rano śniegu jeszcze więcej, ale pogoda. Odwiedzamy raz jeszcze Teatro antico i po wczesnem śniadaniu z żalem wielkim, bo przy pogodzie tak miło by było kilka dni jeszcze tu przepędzić, zjeżdżamy na dół do stacyi. Ruszamy do Syrakuzy.

Syrakuza, 13 lutego.

Jadąc z Taorminy, przebywaliśmy tę samą drogę do Catanii. Dziś inaczej tu wygląda, bo cała okolica, wszystkie gaje cytryn i pomarańcz pod śniegiem. Minąwszy Catanię jedziemy przez wielką, znaną z żyzności, a wolną już od śniegu równinę Piana di Catania. Cała ta równina, to kilka wielkich latifundiów z przestrzeniami wybornie uprawnych, zieleniejących jęczmieniem przeważnie ról.

Linia kolejowa oddala się od morza. Przejeżdżamy w pobliżu największego w Sycylii jeziora lago di Lentini. Okolice tego jeziora należą podobno do najniezdrowszych w Sycylii z powodu febrycznych wyziewów i komarów.

Wśród ciągłych kamiennych wrębów, dalej wśród gajów oliwnych i sadów wielkim łukiem zbliżamy się do morza. Po lewej stronie odsłania się Etna z szarą plamą na stoku. Ta plama to Catania.

Wreszcie dojeżdżamy do większej stacyi, do bielejącego zdala wśród fal morskich, bo na wy-

spie, mostem z łądem połączonej, położonego miasta Augusta. Na płaskich piaszczystych brzegach widzi się całe długie szeregi białych daszkami krytych stożków soli morskiej, otrzymywanej z wpuszczonej w płytkie zagłębienia, a potem parującej wody morskiej. Ciągłe wybrzeżem, przez okolice, które mieściły pierwsze na wyspie i najstarsze osady greckie, mijamy stację Megara Iblea i stajemy w Syrakuzie.

Wyjeżdżając z Taorminy, pytaliśmy się o najlepszy hotel w Syrakuzie. Polecono nam hotel des Etrangers, wspominając przytem, że właścicielką jest Niemka »Witwe Politi« z Monachium. Wsiadających z omnibusu wita nas gospodyni, 50-letnia Niemka, tak familijnie jak własne dzieci. Zauważywszy, że mam twarz napuchniętą (wskutek zaziębienia w Taorminie) zaczęła mię głaskać po twarzy: *O wie bedaure ich Sie, gewiss eine Abszessbildung* — i bez apelacyi odrazu obwiązuje mi twarz fularem z watą. Wzruszeni serdecznością przyjęcia, nie możemy jednak zarazem nie zauważyć niedostatków hotelu. Schody marmurowe, jak tutaj wszędzie, lecz, jak się здаje dla wielkoludów budowane. Gimnastyką wprost sięganie nogą z jednego schodu na drugi. W pokojach marmurowe posadzki, moskityery nad łózkami, lecz pieca ani kominka ani śladu. A choć tu nieco cieplej jak w Taorminie, to jednak ciepłota pokoju nie przekraczała 8 stopni. W dodatku niema nawet piecyków naftowych; wdowa obiecuje nam jednak dać za to na noc lampy

łomka odrapanych i wałących się murów nędza i opuszczenie, oto co wpada w oczy w mieście, które za czasów Dionizosa miało mieć pół miliona przeszło mieszkańców i trzęsło ówczesnym światem greckim, obecnie zaś, ściśnięte na małej wysepce Ostygii, ma zaledwo 30.000, przeważnie próżniaczej i nędznej ludności. W tutejszym porcie, z wyjątkiem dwóch stojących daleko na kotwicy pancernych statków wojennych i kilkunastu masztów łodzi rybackich, nie widzieliśmy ani jednego handlowego parowca. Ruchu żadnego. Widocznie prócz trochy oliwy i wina niema co stąd wywozić i handel musi być w upadku.

Idziemy jednak spać z tą różową nadzieją, że wygrzawszy się dobrze przy obiecanych przez wdowę lampach grzejących, będziemy mogli w dniach następnych przy zwiedzaniu wielkiego miasta ruin, gdzie ani niemiłe zapachy, ani żebrząca ludność nie będzie nas napastować, zapomnieć zupełnie o nowej Syrakuzie. Lecz gdy odprowadzani przez mieszkających w sąsiednich pokojach towarzyszy, weszliśmy wraz z nimi do naszego pokoju, osłupieliśmy na chwilę i mowę nam poprostu odjęło wśród gwałtownego śmiechu. Na stole maleńka, mdławo kopcząca naftowa lampka, taka, jaką się u nas kupuje za 20 centów. Korzystając z jedyne go nowszego w tym hotelu urządzenia, t. j. światła elektrycznego, czynimy jasność w pokoju, by lepiej oglądnąć to mające nas ogrzać чудо. Idziemy zwiedzić pokoje naszych towarzyszy. Takie same lampki. Długo

łomka odrapanych i wałących się murów nędza i opuszczenie, oto co wpada w oczy w mieście, które za czasów Dionizosa miało mieć pół miliona przeszło mieszkańców i trzęsło ówczesnym światem greckim, obecnie zaś, ściśnięte na małej wysepce Ostygii, ma zaledwo 30.000, przeważnie próżniaczej i nędznej ludności. W tutejszym porcie, z wyjątkiem dwóch stojących daleko na kotwicy pancernych statków wojennych i kilkunastu masztów łodzi rybackich, nie widzieliśmy ani jednego handlowego parowca. Ruchu żadnego. Widocznie prócz trochy oliwy i wina niema co stąd wywozić i handel musi być w upadku.

Idziemy jednak spać z tą różową nadzieją, że wygrzawszy się dobrze przy obiecanych przez wdowę lampach grzejących, będziemy mogli w dniach następnych przy zwiedzaniu wielkiego miasta ruin, gdzie ani niemiłe zapachy, ani żebrząca ludność nie będzie nas napastować, zapomnieć zupełnie o nowej Syrakuzie. Lecz gdy odprowadzani przez mieszkających w sąsiednich pokojach towarzyszy, weszliśmy wraz z nimi do naszego pokoju, osłupieliśmy na chwilę i mowę nam poprostu odjęło wśród gwałtownego śmiechu. Na stole maleńka, mdławo kopcząca naftowa lampka, taka, jaką się u nas kupuje za 20 centów. Korzystając z jedyne go nowszego w tym hotelu urządzenia, t. j. światła elektrycznego, czynimy jasność w pokoju, by lepiej oglądnąć to mające nas ogrzać чудо. Idziemy zwiedzić pokoje naszych towarzyszy. Takie same lampki. Długo

nie mogliśmy pohamować naszej wesołości z powodu pomysłu »Witwe Politi«. Ostatecznie jednak w pokoju znacznie cieplej, jak w Taorminie, około 9 stopni Celsjusza. Można więc, zwłaszcza pod moskityerami, przetrzymać noc — pogasiwszy naturalnie poprzednio niezbyt pachnące lampki.

Rano następnego dnia zgłasza się w czasie śniadania zamówiony przewodnik. Mamy się bowiem wybrać na zwiedzanie starej Syrakuzy, rozległego miasta ruin, w którym bez »guida« trudnoby się było zorientować. »Guide« jednak okazuje się nadto nieznośną figurą. Gruby Włoch, paplący nieustannie mieszaniną wszystkich języków, patrzy na nas pogardliwie od chwili, gdy na jego zapytanie, jak nas ma tytułować, książętami czy hrabiami, nie przyznaliśmy się do żadnych tytułów. Zawiózł nas najpierw do rzymskiego amfiteatru, gdzie zaczął się przedewszystkiem chwalić, kogo on to już po ruinach Syrakuzy oprowadzał. Więc królowę Wiktoryę, która go szczególniejszem darzyła zaufaniem, króla Edwarda, Humberta, cesarza Wilhelma II i cały legion innych monarchów lub przynajmniej królewskich wysokości. »A papieża pan nie oprowadzałeś?« — pytam nareszcie zniecierpliwiony. — »Jakiego papieża?« — »Leona XIII lub Piusa X«. — »Nie« — odpowiedział. — »To co mi to taki »guide«, co nawet żadnego papieża nie oprowadzał«. Umilkł upokorzony i włókł się już za nami w milczeniu, nie ukrywając złego humoru. Odprawiamy go też od południa, gdyż »vetturino« zawiezie wszędzie, gdzie

chcemy, a potrzebnych wyjaśnień można zasięgnąć w każdej grupie ruin od custodów.

Miasto ruin wielkie rzeczywiście zajmuje przestrzenie. Neapolis, Epipolis, Tyche, Achradina — tak nazywały się poszczególne główne dzielnice greckiej Syrakuzy, dzielnice, z których każda kilkakrotnie większą zajmowała przestrzeń, niż mała wyspa, na której mieści się teraźniejsze miasto.

Rozległa, kamienna, bezpłodna szczątkami ruin zasiana, smutna jak śmierć, równina okolona pełnym melancholii i klasycznego spokoju krajobrazem — tak wygląda stara Syrakuzy. W oddali bieleje Etna, bliższa zaś okolica, to lekko podnosząca się szara jak popiół płaszczyna, zamknięta po przeciwnej od Etny stronie niskim, równym ku morzu prostopadle ściętym grzbietem gór miodowych. I jest w tem wszystkim jakiś uroczysty smutek, jakiś klasyczny kojący spokój, jakieś zadumanie nad tą wielką przeszłością, której szarych szczątków mało już znać na szarej pustyni.

Przez cały dzień i pół dnia następnego zwiedzamy te smętne pola ruin, od blizkich od nowego miasta rzymskich zabytków, aż do dalekiego na najwyższym punkcie kamiennej wyżyny położonego zamku Dionizosa, Euryalosy.

Ruiny greckiego teatru, założonego podobno 500 lat przed Chrystusem, imponują ogromem. Największy to miał być teatr w całym ówczesnym świecie greckim. Właściwie nie jest to teraz nawet ruina, bo z tych części, które tak dobrze jeszcze zachowane, sterczą ku niebu w greckich

ruinach Taorminy, tutaj nie zostało nawet śladu. Zostało to tylko, czemu ani półtrzecia tysiąca lat, ani barbarzyńska ręka ludzka nie mogła dać rady. Została półkolista głęboko w litej skale wykuta widownia o licznych ku górze się wznoszących rzędach wykutych w kamieniu siedzeń. I szersze wśród tych siedzeń półkoliste przejścia i gdzieś tam widne jeszcze ślady głęboko wrytych greckich napisów. A tam, gdzie była scena, zauważyć tylko można rozmaitej wielkości i kształtu wgłębienia. Słowem to tylko, co jako części olbrzymiej skały nie mogło być z miejsca ruszonym, to tylko utrzymało się do dziś i wieki pewnie jeszcze przetrwa.

Malowniczością położenia teatr ten nie może oczywiście rywalizować z taormińskim. Ale w tej okolicy nie można było wybrać piękniejszego miejsca. Z górnych siedzeń widzi się szafirowe przestrzenie morza i wrzynającą się w nie wyspę z domami nowego miasta. W ścianach skalnych, nieco nad teatrem wzniesionych, całe szeregi czarnych otworów, jakby kamienne do teatru należące loże. Lecz nie dla żywych były te otwory. Są to opustoszałe dziś tomby po grobach starożytnych. Datują się one prawdopodobnie z późniejszych, rzymskich czasów Syrakuzy. A wśród tych czarnych grot wykuta po nad teatrem droga, *via delle tombe*, z głębokimi gdzieś tam jak w Pompei śladami kół wozów starożytnych.

Jako ruina ciekawszym jest może od wielkiego, również w skale wykuty małeńki teatrzyk grecki,

który, jak twierdzą custodowie, musiał być prywatną własnością, a w którym przechowały się jeszcze marmurowe obkłady siedzeń, części płaskorzeźb i kawały żłobkowanych kolumn i nagłowników.

Wśród wielu kamiennych zabytków starej Syrakuzy, które zapewne daleko więcej zajmują znawców, jedno zostanie nam z pewnością trwalej w pamięci, niż ruiny Euryalos lub ołtarzy hekatombowych Hierona: głębokie wrażenie, jakie wywierają starożytne kamieniołomy, tak zw. Latomie syrakuzzańskie. Trudno opisać malowniczość i cały urok tych cudów kamiennych, pełnych tak wspaniałych niespodzianek, takich dziwacznych form i nieforemności, jakby nie przypadek, lecz ręka genialnego artysty kierowała przez wieki tysiącami kamieniarskich robotników.

Z kamienia, stąd wyłupanego, budowała się przez wieki Syrakuzy. A wybierano go takie ilości, że pozostały potem ogromne, nieforemne, prostopadłymi na 30 do 50 metrów wysokimi ścianami ograniczone wgłębienia. A w tych wgłębieniach tyle jeszcze powykowanych w bok wklęsłości i grot, tyle w środku i po bokach pozostawionych najprzeróżniejszego kształtu słupów, kolumn i wiszących nad głowami łuków kamiennych, że dodawszy jeszcze zarastającą te kamieniołomy i czepiającą się wszystkich skał i zboczy bujną południową roślinność, zdaje się, że to jakieś zaczarowane ogrody bajek wschodnich.

Z szarej, smutnej, zasianej ruinami płaszczyzny, gdy się naraz zejdzie po schodach kamiennych do tego czarodziejskiego rajcu z szafirowem sklepieniem nieba nad głową, z dziwnie ponachylanemi, obwieszonemi zielenią jakichś lianów powoi i mnóstwem kwiecia prostopadłemi ścianami skał, sam kontrast raptowny czyni wrażenie tem potężniejszym, tem bardziej olśniewającym.

Zwiedzamy po kolei trzy takie »latomie«. Największą z nich i pod względem kamiennej budowy najciekawszą de' Cappucini; ukrytą obok teatru greckiego L. del Paradiso, nazwaną tak od rajskiej istotnie roślinności, która w takim zasłonięciu od wiatrów, w wilgoci i słońcu, buja jak w tropikalnym klimacie; wreszcie najmniejszą, wyglądającą zupełnie jak jeden gaj cienisty, L. di Venera. W największej, ślicznej głębiami widoków latonii de Cappuccini rozbudza niemały niesmak dziwny koncept współczesnych Włochów postawienia tam pomnika Mazziniego. — Wśród wspaniałości, wrażenie czegoś całkiem brzydkiego i znikomo małego. Jaka była w tem myśl stawiania tu pomnika włoskiemu rewolucyoniście?

Ciekawą bardzo, jako akustyczne cudo, jest znajdująca się w latonii del Paradiso dziwnego spiralnego kształtu ogromna grota, zwana »uchem Dionizosa«, głośna z historycznych podań czy bajek. Lecz czy to naprawdę bajki? Zaczyna się wątpić i zaczyna się wierzyć, że to mogła być prawda, że głośny tyran Syrakuzy mógł rzeczywiście tej groty używać do podsłuchiwania pra-

cujących w kamieniołomie więźniów. Najłżejsze chuchnięcie słyszy się tu, jak szum wiatru, kłaśnięcie jak wystrzał, szept jak głośną rozmowę. Niezwykłe poprostu spotęgowanie głosu.

Po zwiedzeniu wnętrza »ucha« wyprowadzał nas custode z latonii na górę, ponad teatr grecki na terasę, na której miał stać pałac Dionizosa. Wprowadza nas do małego domku, zbudowanego na otworze od »ucha Dionizosa«. Wrócił się następnie do groty, gdzie deklamował, szeptał, chuchał. Wszystkie te odgłosy słyhać niebywale spotęgowane, a zamknięcie drzwi groty, jak grom lub strzał armatni.

Ostatnie popołudnie naszego pobytu w Syrakuzie przeznaczamy na dalszą wycieczkę do Anopo i zarośniętych papirusami źródeł Kyane. Mielismy zamiar jechać barką przez port i zatokę, a potem rzeką dopchać się aż do źródła. Lecz nasz vetturino odradzał jazdę przez zatokę, mówiąc, że *mare molto contrario*, co potwierdzały instotnie głuchym rykiem rozbijające się o skały fale. Obiecywał nas natomiast vetturą zawieść aż do Kyane.

Przyjechawszy jednak z nami do ujścia Anopo, piękną nad samym urwistym brzegiem wiodącą drogą, staje naraz, wskazując wąską, wzdłuż rzeczki wiodącą ścieżkę na dowód, że tędy końmi nie przejedzie. Wysiadamy więc, chcąc iść piechotą do niedalekiego źródła. Tymczasem zjawia się nagle przed nami dwóch wioślarzy i wskazując na ukrytą w rzeczce barkę, ofiarowują się nas dopchać barką do źródła, żądając jednak niesły-

chanie wygórowanej zapłaty. Taniej o wiele, bez vettury, bylibyśmy najęli barkę wprost z Syrakuzy. Więc odmawiamy. Zrozumiawszy zaś z kłótlivej rozmowy wioślarzy z vetturinem, że oni przecie naumyślnie po nas z Syrakuzy przyjechali, oburzeni tą na wyzysk obliczoną spółką, ścigani przez jednego wioślarza, podczas gdy drugi nie na żarty zabierał się do grzbietu naszego vetturina, idziemy piechotą.

Lecz ścieżka po niedawnych deszczach zaczyna być coraz więcej błotnistą. Na obuwiu unosimy całe łany lepkiej gliny. Niedaleko widać już wielkie kępy papirusów, lecz dojść trudno. Obawa, że i gdy drugi wioślarz, który nas nareszcie opuścił, zechce przyczynić się do czynnego załatwienia rachunków z vetturinem, ten gotów ze strachu zaciąć konie i uciec, skłania nas do szybkiego powrotu. Dopadamy szczęśliwie powozu i ścigani wymyślaniami wioślarzy, szybko odjeżdżamy. — Vetturino prawdopodobnie trochę pobity i widocznie bardzo zawstydzony, wiezie nas inną drogą, zbaczając do dwóch widnych na wzgórzu samotnych kolumn, jedynych pozostałości ze starożytnego Olympeionu świątyni Zeusa olimpijskiego. Miała to być jedna z najwspanialszych świątyń greckich w starożytności. Piękny stąd widok, jak na dłoni przed nami cała zatoka, i Ortygia z natłoczonymi domami miasta, w oddali Etna z drugiej zaś strony klasyczny profil góry miodowej.

Po powrocie, chodzimy jeszcze po mieście. By się pocieszyć po zawodzie z papirusami Kyane,

schodzimy na dół do papirusów, obrastających bujnie źródło Aretuzy. Cały szereg czarnowłosych i czarnookich, choć nieco brudnych Nimf, czerpie wodę ze źródła, by potem z dzbanem na głowie i wzniesionemi ramiony wstępować poważnie na marmurowe schody. Jedna z Nimf poprosiwszy o scyzoryk, zrżyna dla nas po jednym badylu papirusowym z ogromnemi kiściami, a otrzymawszy w zamian miedziane dowody wdzięczności, żegna nas ręką od ust i zalotnym uśmiechem. Istotnie jedyna piękna rzecz w nowej Syrakuzie. To to źródło i otaczający je skwer nadmorski z kilkoma palmami i z temi schodami pełnemi czarnookich niewiast z dzbanami na głowach. Są w tem jakieś greckie czary.

Przed wyjazdem rano zwiedzamy jeszcze katedrę, ciekawą o tyle, że wbudowaną jest cała w starą dorycką świątynię Ateny i że wewnątrz widzieć można wyraźnie wielkie żłobkowane kolumny z ich nagłownicami i architravem.

Po czułem nad wyraz pożegnaniu się z serdeczną »wdową Politi«, wsiadamy do pociągu mającego nas zawieść przez Catanę, a potem na wskroś przez środek wyspy na wieczór do Palermo.

Palermo, 19 lutego.

Widziane w przelocie w ciągu sześciogodzinnej jazdy kolejowej przez środek Sycylii wewnątrz wyspy, przynosi niemałe rozczarowanie. Pożegnawszy pod Catanią morze Jońskie i minąwszy podetneńską żyzną i usianą ogrodami równinę, nasycając oczy ciągle zmieniającym się widokiem łagodniejszych z tej strony stoków Etny i jej białego czubka, od którego raz w raz odrywa się nowa chmurka dymu i rozwiana brudzi błękit nieba, wjeżdża się od stacji »Catanuova« między nagie, poszarpane, bezpłodne góry z pasącymi się tu i owdzie stadami czerwonego bydła, owiec i kóz.

Na czem się to pasie i za czem chodzi po tych czarnych górskich pustkowiach, trudno się domyśleć, bo oprócz wielkich kaktusowych żywopłotów obok linii kolei, pełniących, jak się zdaje, służbę śniegowych zasłon, oprócz rosnących tu i owdzie wśród kamieni agaw, nie widać nigdzie żadnej zieleni. Natomiast widać coraz częściej wielkie płaty śniegu, który tu wśród gór wysokich nie zdołał jeszcze stopnieć.

Dojeżdżamy do ponurych, olbrzymich, skalistych grzbietów. Na jednym ze ściętych szczytów widać wyraźnie jakieś rozległe szare mury, domy i wieże. Przypomina to żywo wiszącą nad Taorminą jak orle gniazdo Molę. Tylko to miasto większe o wiele, na mniej jeszcze dostępnej skalistej górze. To Castrogiovanni, miasto obecnie trzydziestotysięczne, to dawna starożytna Enna, którą Cicero jako niezdobytą twierdzę sławił, a Liwiusz »inexpugnabilis« nazywał. Zdobywano tę twierdzę jednak nieraz w ciągu wieków. Posiadł ją siłą oręża i Dionyzos I, potem Rzymianie, potem Kartagińczycy i znów Rzymianie i Saraceni i Normanowie i Henryk VI z domu Hohenstaufów.

Pociąg zbliża się coraz bardziej do ściany na 1000 metrów wysokiej góry, na której stoi Castrogiovanni. Przez chwilę widać wiszące wprost nad głowami mury miasta. Potem długi tunel, z którego wyjeżdżamy po drugiej stronie Castrogiovanni. Ukazuje się ono jeszcze kilkakrotnie, to z prawej, to z lewej strony. Na innej wysokiej górze widać znowu mury miasteczka »Cala-scibetta.«

Wśród ciągłych zakrętów i przekopów wyjeżdżamy z wysokich gór i dostajemy się w okolice brzydką, ponurą i bezpłodną, okolice niskich, płaskich pagórków ze skąpymi tylko gdzieniegdzie śladami zieleności, a bez śladu jakichkolwiek drzew lub krzaków. Jednostajna szara barwa ziemi i nędznych rzadko porozrzucanych domów ka-

miennych, szarą krytych dachówką, upstrzona tylko gdzieś tam małymi płatami śniegu. Trzeba sobie powtarzać, że to Sycylia, tak ponure i wcale nie południowe wrażenie robią te martwe pustkowia. Z czego tu ludzie żyją? Chyba z tego bogactwa siarki, której ogromne masy widzi się na każdej stacji kolejowej.

Mijamy stację Imera (starożytna Himera) i miasteczko St. Caterinia, gdzie rozchodzą się linie kolejowe, jedna na południe do Girgenti, druga zaś w północno-zachodnim kierunku; przejeżdżamy kilka długich tuneli. Okolica wciąż martwa. Dopiero od stacji Roccapalumba zaczyna się trochę ożywiać. Widać znów stada bydła, owiec i kóz i więcej zieleni, oraz tu i owdzie porozrzucane szare drzewa oliwne.

Im bliżej morza, tem piękniej być zaczyna. Na prawo wysokie śnieżyste góry. To pasmo Medonia, naokoło coraz więcej pięknych gajów i sadów, okolica przemienia się stopniowo w jeden pyszny owocowo-warzywny ogród, czepiający się wysoko stoków górskich. Wreszcie ukazuje się morze (mare tirreno). Na niem świetliste w zachodzącym słońcu żagle łodzi rybackich i kilka większych żaglowych statków, lecących jak wielkie motyle ku brzegowi, a w oddali smuga czarnego dymu znaczy drogę, dążącego gdzieś ku Messinie parowca. Dojeżdżamy do prześlicznie położonego portowego miasta Termini; potem wciąż brzegiem morza wśród zapadającej nocy do widnego zdala roju świateł. To Palermo.

Olbrzymi hotel »de France« przepełniony tak, że trzeba czekać parę godzin na odjazd kilku osób i opróżnienie pokoi. W spisie gości hotelowych kilka polskich nazwisk, figurujących tutaj w ozdobie przybranych widocznie na czas podróży tytułów hrabiowskich. — Komfort, legiony wyfraczonej służby, wszystkie możliwe nowoczesne hotelowe urządzenia. Osobiście nie lubię zbyt wielkich hoteli, w których przy całej w ścisły regulamin ujętej dokładności usługi, ma się jednak uczucie, że się jest traktowanym jak numer. Wolę małe hotele z ich niedostatkami, z ich choćby nawet zanadto narzucającą się o każdego gościa troskliwością i zainteresowaniem. Wolę nawet poufałą syrakuzzańską »Witwe Politi« z jej grzejącymi lampkami i troszczeniem się o bolące zęby gościa, niż te zastępy służby, portyerów, komisyonerów, między którymi i ich przeznaczeniem do tych lub innych usług rozeznąć się nawet trudno. Wolę nawet mały hotel, gdzie mogą i chcą się stosować do gościa i na życzenia dadzą śniadanie lub obiad wcześniej lub później, niż innym, aniżeli te olbrzymie w szeregu sal południowe lub wieczorne obiady, na które zwołuje się hałaśliwymi dźwiękami tamtamu, wybijanymi po wszystkich piętrach. Wolę wreszcie zwyczaj małych hoteli przynoszenia atramentu i przyborów do pisania do pokoju gościa, niż te wspólne wielkie czytelnie i salony, przepełnione setkami Angielek i Niemek, piszących ciągle i przy wszystkich biurkach kartki z widokami, lub drzemiących z ga-

zeta w rękę na bujających krzesłach, lub co gorzej mordujących ciągle fortepiany. Widzi się też tu takie, których stałem zajęciem jest przebywanie we wspólnych salonach w celu pilnego i natarczywego obserwowania nowo przybywających osób i oglądania ich na wszystkie strony. Niejedna ma przytem minę najgłębszego przekonania, jakoby turyści po to tylko się tu zjeżdżali i przychodzili do salonu lub na obiad, by im służyć za przedmiot obserwacyi i uwag.

Nie mam zamiaru pisać wiele o wrażeniach z pięciodniowego pobytu w Palermo i wycieczek w okolice. Palermo jest bowiem jedynem, powszechnie znanem i przez wszystkich prawie zwiedzających Włochy odwiedzanem miastem Sycylii.

Większa część turystów kończy włoską podróż wycieczką morską z Neapolu do Palermo, każdemu prawie jednak brak czasu staje na zawadzie zwiedzeniu innych stron wyspy. — Stąd też najpiękniejsze wschodnie wybrzeża Sycylii są mniej znane i o piękności wyspy sądzi się najczęściej z tego wrażenia, jakie po wrzaskliwym, brudnym i jako miasto nieznośnym Neapolu czyni nietylko wspaniale położone, ale przytem spokojne, czyste i eleganckie, wykwintny salon przypominające Palermo.

Miasto wielkie (około 350.000 ludności), zbudowane nader regularnie, o szerokich ulicach, wielkich placach i skwerach, obfitości zieleni i pięknych ogrodów, ślicznych pałaców i will, rozrzu-

conych wśród zieleni, należy, z wyjątkiem oczywiście dzielnicy portowej, do najczystszych miast we Włoszech. Pod tym względem nie ustępuje bynajmniej czystemu bardzo Medyolanowi. Jest przytem zimową rezydencją wszystkich prawie rodzin sycylijskiej arystokracji, rodzin przez posiadane wielkie obszary ziemi we Włoszech najbogatszych. Prócz arystokracji sycylijskiej, nie mało także zamożnych rodzin włoskich, angielskich i francuskich przepędza tu sezon zimowy. Stąd nie widzi się nigdzie w południowej Europie tylu pięknych stylowych zaprzęgów, ślicznych koni i powozów prywatnych z okrutnie angielskim furmanem i małym obok niego groomem na koźle.

Korzystając ze ślicznego czasu i ciepła w Palermo, bierzemy codzień popołudniu powóz i jedziemy godzinami wolno za sznurem posuwających się powoli powozów po «via Macqueda» i «corso Vittorio Emanuele», podziwiając wspaniałość zaprzęgów prywatnych, wspaniałość jaką każdy zwłaszcza południowy włoski gentleman popisać się musi *per far una figura* choćby miał sobie w domu najniezbędniejszych za to odmawiać potrzeb.

Siwy jak gołąb stary vetturino, który nas wozi po corso, zna doskonale wszystkie powozy, konie, zna nazwiska, stan majątkowy, upodobania i nawet przekonania polityczne ich właścicieli. Ciekawe opowiada rzeczy o sposobie życia paradujących na corso arystokratów sycylijskich,

oraz bogatych tutejszych kupców i przemysłowców i tych, co życie przepędzają w najzupełniejszym *far niente* i tych, co mają ambicje twórcze, lub choćby tylko polityczne ambicje przodowania, które do dziwnych czasem prowadzą zbroczeń. Wskazując na jeden z mijających nas gustownych ekwipaży, wymienia nazwisko księcia X. (nazwiska nie zapamiętałem), właściciela pięknego pałacu w Palermo i znacznych dóbr, który jest przywódcą socjalno - demokratycznej partii w Palermo.

— Co go też mogło pchnąć na tę drogę — pytam.

— Bo chce zostać posłem, a potem może ministrem.

Pomyślałem sobie, że może nietylko we Włoszech, ale niedługo i w Austrii na tę drogę pokuś się wstąpić niejeden karyerowicz polityczny i dzięki nierozumowi rządów, idących zbyt często na pasku tych partyj, które w braku czynów i argumentów lubią wojować krzykiem i terrorem, gotów się nawet nie przeliczyć w swych rachubach.

Obok wielkiej stosunkowo ilości eleganckiego świata i pięknych prywatnych pałaców, posiada Palermo dużo bardzo istotnie pięknych prywatnych i kilka wielkich publicznych ogrodów. Nie mało przy tem skwerów, zdobiących miasto gęstemi grupami zieleni. Nie brzydkim jest wielki publiczny ogród »Flora« inaczej »Villa Giulia« zwany, uczęszczany bardzo, gdzie można nacie-

szyć oczy widokiem pięknych nierzadko twarzy kobiecych. Bogatym jest również sąsiedni botaniczno-zoologiczny ogród. Prawdziwie piękne są jednak nie tyle może roślinnością i obszarem, co położeniem i cudnym widokiem na miasto, morze, port, Monte Catalfano i niezapomniane kształty wiszących nad miastem urwisk Monte Pellegrino, nadmorskie plantacje Marina, zwane także Fora Umberto I. Jest to jeden z najmiłszych wieczornych spacerów w Palermo.

Jedno popołudnie poświęcamy na wycieczkę na szczyt Monte Pellegrino. Było to po świeżo spadłym obfitym deszczu. Wynajęte osły przewracają się pod nami na obślizłych kamieniach, miejscami mimo energicznych środków, stosowanych przez oślarzy w żaden sposób nie chcą iść dalej. Większą więc część drogi na szczyt i całą powrotną drogę na dół odbywamy piechotą. Wszystkie te jednak niepowodzenia wynagrodził widok ze szczytu na miasto, jak jeden wielki ogród wyglądającą okolicę, skaliste cyple wybrzeży, góry zamykające całą Conca d'Oro i niezmierne przestrzenie świetlistego morza.

Z kilku wycieczek w okolicy, na naczelnem miejscu pod względem odświeżonych wrażeń zostanie mi w pamięci wycieczka do Monreale. Niezrównaną pod względem widoków jest droga do Monreale, poczynawszy od Rocca, jak również pod względem egzotycznej prawie rozciągającej się tu roślinności.

O mozaikowym bogactwie kościoła w Monreale, tylokrotnie już opisywanem, zbytecznem byłoby wspominać.

Ze zwiedzanych osobliwości Palerma, przechwalony jest przez wszystkie opisy i przewodniki widok najstarszego we Włoszech pomnika normandzkiej architektury, opustoszałego już dziś kościoła St. Giovanni degli Eremiti. Stary custode z wielką siwą brodą, były garybaldczyk, nie omieszkał nam jak łopatą w głowę wytłómaczyć, z jak wielkim bohaterem mamy zaszczyt rozmawiać, i nie odstąpił, dopókiśmy go (czyniąc zadość natarczywemu życzeniu) nie odfotografowali na tle kościoła z wyciągniętą wojowniczo prawicą.

I jeszcze jedna reklamowana bardzo przez Baeckera osobliwość. To Convento de' Capuccini ze swym podziemnym labiryntem korytarzy grobowych, z których ani jednego nie darował nam oprowadzający custode. Wielkie i wysokie katakombowe lunetami z góry oświetlone korytarze, zapchane poprzywiązanymi w stojącej pozycji uschłymi jak mumie trupami, z tabliczkami zawierającymi nazwisko zmarłego, z zastygłymi uśmiechami pokazujących zęby z pod uschłych warg trupich twarzy. Przejęci wstrętem chcieliśmy uciekać, ale nie wiedząc, gdzie się obrócić w tym labiryncie, byliśmy zdani na łaskę custoda, który swą dokładność posuwał do tego, że otwierał trumny nie całkiem jeszcze uschłych, więc nie powyłoczonych jeszcze z trumien zwłok. Między innymi mieliśmy także sposobność zapozna-

nia się z jakimś zmarłym przed laty trzydziestu jenerałem Garibaldiego w błyszczącym jeszcze mundurze, z obrzękłą brodatą twarzą.

Zobaczywszy w przechodzie wyjście zabraliśmy się do spieszego odwrotu, mimo protestu custoda, zachęcającego nas z demonicznym wybuchem śmiechu do zwiedzenia kilku jeszcze bocznych korytarzy, gdzie są — jak mówił — dla przyzwoitości osobno umieszczone trupy samych kobiet. Ale nie chcieliśmy o tem słyszeć, czując potrzebę słońca, powietrza i wyrwania się z labiryntu tych okropnych profanacją pokazywanych za pieniądze trupów, podziemi.

Rząd włoski zakazał wprowadzić jeszcze w roku 1882 tego sposobu chowania zwłok. Sądzę jednak, że nic by na tem nie straciło Palermo i ruch turystów z pewnością by się nie zmniejszył, gdyby zakazano także pokazywania tych wypełnionych dawniejszemi trupami podziemi za wstępem 50 centimów od osoby.

Pod wieczór czwartego dnia naszego pobytu, pożegnaliśmy naszego przemiłego towarzysza podróży majora S. Dnia następnego mieliśmy i my pożegnać piękne Palermo i Sycylię, odpływając statkiem francuskiej kompanii do Tunisu. W hotelu odradzano nam jazdę tym statkiem, zalecając natomiast bardzo usilnie odpływający o dzień później statek włoskiej »Navigazione generale italiana.« Mieliśmy jednak zawsze większe trochę zaufanie nie tyle może do francuskich statków, co do francuskiej kuchni, i wykreśleni z tablicy

numerów hotelowych, przenieśliśmy się przed południem na pokład statku »L'oasis,« który miał odejść stąd o godz. 1 po południu, a na drugi dzień o godz. 7 rano miał nas wysadzić w Tunisie.

Oglądnąwszy statek i przeznaczone dla nas kabiny, i zaznajomiwszy się z kapitanem, starym Korsykaninem, puszczamy się obecnie z całym zaufaniem na fale morza afrykańskiego, które jeszcze za rzymskich czasów z powodu częstych wichrów południowych i wielkich burz znane było pod nazwą *mare terribile*.

Tunis, 24 lutego.

Trudnym był wyjazd z wielkiego, zapełnionego szczerlnie statkami Palermijskiego portu. Przed pierwszą zaczęliśmy ciągnąć kotwicę, godzina jednak minęła, nim przy pomocy małego holownika, przy kilkakrotnem użyciu wielkich węzłów sznurowych dla uniknięcia uszkodzeń przy ocieraniu się o stojące obok statki, zdołaliśmy narreszcie wydobyć się z tego labiryntu i obrócić się na otwarte morze. Wspaniałym był ten wyjazd ze ślicznej malowniczością położenia, bujną wegetacją i grą barw zatoki. I powoli obserwowane szczegóły krajobrazu zaczęły się w miarę oddalenia zbliżać do siebie i stapiać w jedną przepyszną całość widoku palermijskiej »złotej konchy«.

Đążąc w kierunku zachodnim, opływamy szybko »monte Pellegrino«, za którym kryje się nam piękne Palermo. Ukazują się jednak coraz nowe pasma skalistych gór, błękitniejących stopniowo mgłą oddalenia. Przez dwie godziny płyniemy wciąż na zachód, potem skręcamy ku południowi

koło widnego wyraźnie przyładka »S. Vito«. Jazda zaczyna być coraz mniej przyjemną. Zaczyna wiać silny »sirocco«, potęgujący się w miarę jak opłynięty już północny górzysty brzeg Sycylii przestaje nam być wygodną zasłoną. Wśród coraz silniejszego kołysania zbliżamy się znów ku brzegom, ku rysującym się wyraźnie i jaskrawo w zachodzącem słońcu wyniosłym szczytom »monte S. Giuliano«. O zmroku mijamy widne zdala światła miasta »Trapani«. W zupełnej już ciemności widzimy daleko przed sobą światła latarni morskich na lewo na zachodnich cyplach sycylijskich wybrzeży, na prawo na jednej z wysp należących do grupy »Isole Egadi«.

Godzina wpół do siódmej wieczór. Głośne dzwonięcie wzywa nas na obiad. Wśród coraz silniejszej huśtawicy, trzymając się konwulsyjnie lin i poręczy schodzimy do sali jadalnej. Towarzystwo niemiecko-angielskie. Jedzie z nami stary, siwy Amerykanin z synem, trzech młodych Anglików, dwie nie pierwszej młodości Angielki, jakieś młode małżeństwo niemieckie z Saksonii i wreszcie kilku Prusaków, junkrów pomorskich, jadących na wyprawę myśliwską do południowej Tunetanii. Obiad wyborny, ale bardzo niespokojny. Po zupie opuszczają nas obie Angielki i chwiejnym krokiem odchodzą do swej kabiny. W chwilę potem znika małżeństwo niemieckie, potem znów kilka osób, tak, że po kilku potrawach zostaje nas tylko siedmiu wraz z kapitanem. Podobne częste ewenementa nie budzą ani obaw, ani zbyt

wielkiego współczucia. Traktuje się je więcej ze strony humorystycznej. Nie troszcząc się o naszych chorych, zjadamy za siebie i za nich podwójne porcy i siedzimy długo przy stole, rozmawiając z Niemcami, opowiadającymi o swych planach myśliwskich i o zwierzostanach w okolicy »Sfaxy«.

Wychodzę na pokład. Wiatr silny i rozkołysane fale świecą mnóstwem błado błyszczących punkcików. Nie widać naokoło żadnych świateł, ani nadbrzeżnych latarni. Jesteśmy na pełnym morzu. Wicher spędza mię jednak z pokładu. — Idę spać; budzę się jednak kilkakrotnie i od 4-ej po północy, mimo mniejszego znacznie kołysania, nie śpię już, nie chcąc zaspać świtu i widoku brzegów Afryki. Przed szóstą rano jestem już na pokładzie. Jest już prawie widno i coraz więcej światła wsiąka w przestrzeń, jakby wiatr zwiewał ostatnie cienie. Coraz jaśniejsze i srebrzystsze fale. Coraz większa, jaśniejsza smuga światła na wschodzie. Wreszcie strzela po ruchliwej powierzchni kilka pierwszych promieni wstającego słońca, i za chwilę widzę już dalekie jeszcze, jaśniejące kontury płaskich pagórków afrykańskiego brzegu. Schodzę po towarzyszy i za pół godziny jestem już wraz z nimi na pokładzie. To, co teraz widzimy, to już typowa Afryka.

W bok od nas ku wschodowi pagórkowate zielone wybrzeże. Nad samem morzem na płaskim pagórku olśniewające wprost białością domów miasteczko. Domy jak białe pudełka bez dachów,

z pośród nich sterczy kilka minaretów, a wszystko odrzyna się jaskrawo od ciemnej zieleni otoczenia i od czerwonawych szkarp wybrzeża. — Przed nami na południe brzeg płaski, usiany również białymi domami. W jednym miejscu tych domów więcej, aż razi oczy ich białość. To dawny port Tunisu »La Goulette«. Wszystko tu jakieś inne, pełne jaskrawych kontrastów świetlnych.

Zbliżamy się szybko do Gouletty i wjeżdżamy wreszcie na kanał Tunetański, idący prosto jak strzelił środkiem płytkiej zatoki morskiej, czy też połączonego z morzem słonego jeziora »El Bahira«. Kanał szeroki na sto metrów, ujęty z obu stron w niskie opaski kamienne. Jazda kanałem, spokojnym naturalnie jak staw, trwa jeszcze przeszło godzinę. Po obu stronach wielkie przestrzenie sennych wód z piaszczystymi wysepkami. Na jednej jakieś ruiny. A na tych wodach głośne rozgwary ptasie, całe stada jakichś małych i wielkich barwnych kaczek najrozmaitszych odmian i długie rzędy stojących na płytkich zalewach, uszykowanych jak wojsko flamingów. Jedno spłoszone stado przelatuje poważnie nad naszymi głowami, migocąc szeregiem potężnych różowych skrzydeł, aby zapaść o jakie 300 metrów dalej i uszykować się w dwa szeregi na mieliźnie. Próbujemy fotografować te ptasie wojska regularne. Na fotografii jednak, jak się później okazało, tylko przez szkło powiększające odróżnić można flamingi.

Wreszcie przybijamy do molo, wypełnionego szczerze wrzeszczącym i ruchliwym tłumem. W tłumie widać białe postacie arabów w wielkich zawojach. Gołe suche łydki i stopy w złotych lub czerwonych pantoflach widać z pod długich malowniczo się fałdujących haików. Obok tych pięknych postaci, kroczących z powagą jak senatorowie rzymscy, pcha się gwałtownie ku statkowi cały tłum ludzi o rozmaitej barwie twarzy, brunatnej lub czarnej przeważnie, pcha się wrzeszcząc, popychając, błyskając białkami i zębami. Dostają się wreszcie na statek i jak zdobywcy rzucają się na kufry. Sześciu dzikich obdartsów dobiera się do naszych kufrów. Zarzucają sznury. Bronimy energicznie, lecz tragarze legitymują się rozchyleniem łachmanów i okazaniem nam na gołych piersiach zawieszonych jak szkaplerze wielkich metalowych tabliczek z numerem i napisem francuskim. Są to więc tutejsi posługacze publiczni. Uspokojeni, pilnując ich jednak ciągle, zdążamy, nie zatrzymywani zupełnie w urzędzie celnym na »Rue al-Diazira« i stajemy przed poleconym nam w Sycylii »Gr. hotel de Paris«. Służba wylega na nasze przyjęcie. Nasz towarzysz mówi do mnie głośno »Trzebaby się umówić o cenę«. Na te słowa rozjaśnia się oblicze wyfraczonego »maitre d'hotela«. To państwo Polacy! Ach jak się cieszę. W tym roku nie mieliśmy tu jeszcze Polaków. »A pan skąd?« pytam. »Ja ze Śląska, taki »wasserpolak« jak to nazywają. Byłem długie lata w Krakowie«. Ucieszony

rodak szybko godzi się z nami o cenę mieszkania wraz z utrzymaniem, daje nam doskonałe frontowe pokoje z balkonami. Przy herbacie którą zaraz w jadalni podano, udziela nam Ślżzak informacyi, poleca guida, który ma nas oprowadzać po Tunisie.

Zanim wezwany przewodnik nadejdzie, wychodzimy sami na miasto. Hotel nasz położony przy »Rue al Diazira« szerokiej ulicy odgraniczającej wielkie arabskie miasto od małej z jednego właściwie szerokiego i wspaniałego bulwaru i kilku bocznych ulic składającej się europejskiej dzielnicy. Idziemy na szeroki, pełen zieleni, skwerów bulwar »Avenue de France«. Gdyby nie publiczność siedząca z rzadka o tej rannej porze na chodnikach przed kawiarniami, publiczność składająca się w połowie z eleganckich w białe jedwabie przybranych arabów w połowie zaś z oryginalnie umundurowanych oficerów kolonialnych francuskich wojsk, gdyby nie wyniosłe palmy zamiast platanów, miałoby się złudzenie, że się jest na paryskim bulwarze.

Dochodząc do wielkiego, w głąb nieco cofniętego pałacu właściwego władcy kraju, francuskiego jenerała-rezydenta, przechodzimy koło sklepu jubilera. Rzuciwszy okiem, widzę za szybą sklepową napis: »Tu mówią po polsku«. Zdziwienie! Dla kogo tu w Tunisie ten napis? Patrzymy na szyld nad sklepem. Firma brzmi »Ladislav«. Wchodzimy do sklepu. I pokazuje się, że właściciel sklepu jest Polakiem z Galicyi, rodem z Leżajska

pod Rzeszowem. Nazywa się »Władysław Drzyździński«. A ponieważ tego nazwiska nietylko żaden Arab, Maur, czy Kabył, ale nawet żaden uczciwy Francuz by nie wymówił, więc napisał na szyldzie »Ladislas«. Jest w Tunisie już 10 lat. Był przedtem u Glixellego w Krakowie, dostał się tu przypadkiem. Powodzi się mu od kilku lat doskonale, co drugi rok jeździ na lato do rodzinnego Leżajska do krewnych.

Po krótkiej rozmowie zegnamy p. Drzyździńskiego i na bulwarze spotykamy szukającego nas naszego Polaka z hotelu wraz z jakimś po europejsku ubranym, w czerwonym jednak fezie na głowie młodym człowiekiem. To polecony *guide* »Pinhas Soussan«. Po francusku mówi doskonale, Zapytany o narodowość odpowiada, że jest Tunetańczykiem. Jak się później dowiedzieliśmy, jest tunetańskim żydem. Pinhas Soussan przepędził w naszych usługach pięć dni od rana do nocy i okazał się inteligentnym, pewnym i doskonale miasto, kraj i jego stosunki znającym przewodnikiem.

Prowadzi nas odrazu do czysto arabskiej dzielnicy »Medina«. Wchodzimy najpierw na szeroką stosunkowo ulicę »Rue de la Kasba«. Na prawo i lewo rozchodzą się całe labirynty niesłychanie wązkich, ciemnych, sklepionych przeważnie, z wielkimi tylko z góry otworami uliczek. Soussan zbacza, prowadząc nas temi uliczkami do wielkich tutejszych bazarów. Co za ruch szalony w tych bazarach, co za typy, co za postacie w najprze-

różniejszych strojach i o rozmaitej barwie twarzy. Dla nas, będących pierwszy raz w Afryce, widok to fantastyczny, jakaś bajka z tysiąca i jednej nocy. Takie to wszystko do Europy niepodobne; czujemy naprawdę, że jesteśmy w innej części świata. Krążymy po tych bazarach długo, zatrzymując się często wśród zaułków.

Bazary, to cały szereg otwartych kramów, ugrupowanych w ten sposób, że kilka sąsiednich, wonnych od safianu uliczek wypełniają same tylko kramy wyrobów ze skóry, inną znów grupę uliczek wyroby metalowe; dalej znów zaułki z kramami starej broni orientalnej, dalej ulice olejków kwiatowych i perfum, to znów biżuterij i starych monet, dywanów wschodnich i makat, a wreszcie cały labirynt uliczek samych burnusów, haików, szalów, turbanów, jednym słowem arabskiej krawieczyzny.

Każdy taki dział jednego rodzaju wyrobów nazywa się po arabsku »sug«. Najprzyjemniej krążyć po wonnym »sug el attarin«, gdzie wyrabiają i sprzedają same tylko olejki i perfumy. Ścisk tu niewielki i można bez narażenia się na potrącenie zatrzymywać się przed kramami i przypatrywać siedzącym wśród swych towarów, poważnym jak patryarchowie postaciom. Zatrzymujemy się przed jednym z kramów, pytając o ceny perfum. Właściciel kramu Mohamed Sadok Asaun prosi nas do środka. Siadamy na dywanach i przynoszą nam gęstą, ale wyborną kawę. Potem otwiera Arab po kolei rozmaite wielkie flakony

i zwilża ich zawartością ręce mej żony. Są to wszystko gęste olejki kwiatowe przeróżnych woni. Jedną kroplą takiej esencji można zaperfumować całą szafę z garderobą. Kupujemy po kilka gramów rozmaitych olejków. Maleńka, kilkadziesiąt kropeł zawierająca flaszeczka kosztuje 10 franków. Arab, nie spiesząc się bynajmniej, z ogromną flegmą i powagą taruje flaszeczki, odważa esencje, dobiera korki, lakuje. Gdy odchodzimy, żegna nas dotknięciem czoła i piersi. Uroczysta figura, o bardzo szlachetnych rysach twarzy.

W uliczkach »sug el attarin« spotykamy po raz pierwszy kobiety arabskie, których się wogóle bardzo mało — jak wiadomo — widuje. Idą ku nam dwie. Trudno się domyślić, że to kobiety. Wyglądają, jak niekształtne kupy tkanin. Jedna z nich z zasłoniętą czarnym jaszlakiem twarzą, ubrana biało, w białych szerokich szarawarach — to służebnica. Druga, prowadzona przez tamtą, idzie z wyciągniętymi przed siebie rękami, w których trzyma spadający od głowy szeroki szal przed twarzą. Trzyma go dość daleko od twarzy, aby widzieć w dół pod nogami. To harekowa pani, żona bogatego Araba. W niezgrabnym stroju z kolorowych jedwabi nie znać żadnego wcięcia, nie znać figury, trzymany zaś przed zasłoniętą i tak jaszlakiem twarzą gruby szal nie pozwala się nawet domyślać ani wieku, ani barwy twarzy.

Zapuszczamy się w uliczki kramów biżuteryi i monet. »Sug el birka«. Wszystkie wystawione tu w kramach złote wyroby, drogie kamienie,

wszystko to wyrabia się, wykowa, cyzeluje, oprawia w naszych oczach. Te kramy są zarazem warsztatami złotników. W małych tygielkach platynowych topi się przy pomocy dmuchawek złoto i srebro, dobiera kamienie. Na małych kowadełkach wykowa się piękne arabskie spinki i agrafy. Dużo tu oryginalnych form i arabesków. Robotnikami są przeważnie tutejsi żydzi. Przechodzimy z kolei do pachnącego safianem działu wyrobów ze skóry. Bogato zdobione siodła wschodnie, takie jak te zdobyczne z wiedeńskiej wyprawy, które się widzi po naszych muzeach. Kamieniami sadzone nagłówniki końskie, dziwnych kształtów strzemiona. A dalej dział obuwia wszelkiego rodzaju i rozmaitej barwy, wyglądającego jak pantofle obuwia Arabów. Najwięcej żółtych lub czerwonych safianowych i morokinowych. Setki żydowskich i murzyńskich robotników wyrabia w oczach to obuwie.

Skręcamy w bok do działu jedwabów i makat. Znow setki robotników zajętych bardzo pracowicie naszywaniem i haftowaniem, a wśród nich siedzący poważnie z założonemi rękami i nogami Arabowie. Obok dział kilimów i dywanów. Wchodzimy do sklepu największego tutejszego kupca i arabskiego milionera Barbuchiego. Kilku młodych Arabów wita nas z pełną godności uprzejmością. Prowadzą na piętro, do wielkiego po arabsku urządzonego salonu. Zjawia się stary bogato ubrany Arab. To właściciel firmy »Ali Borbouchi«. W milczeniu przynoszą nam taburety

i małe stoliczki, nalewają kawę. Pijemy jedną i drugą filiżankę gęstej mokki. Dopiero gdy podziękowaliśmy za trzecią, pryska uroczyste milczenie. Młode Arabczuki zaczynają na skinienie Barbouchiego rozkładać przed nami wspaniałe jedwabne dywany. Pytam o cenę. Niezbyt wielki, najwyżej 6 metrów kwadratowych dywan jedwabny cenią 5.000 franków. Soussan szeptem mi do ucha, że należy zaoferować 1.000 franków, a za 1.500 z pewnością dadzą. Nikt z nas jednak nie ma zamiaru robić tutaj tak drogich sprawunków. Prosimy Barbouchiego, żeby nam już więcej nie pokazywano towarów, bo w sklepie, gdzie najmniejszy wełniany dywanik, najmniejszą makatkę cenią 300 franków, my nic stanowczo nie kupimy. Odbieramy jednak odpowiedź, że Barbouchimu nie tyle zależy na sprzedaniu swego towaru, jak na tem, by przed cudzoziemskimi gośćmi mógł pokazać wyroby tak piękne i doskonałe, jakich nigdzie nie zobaczą. I pokazują nam w dalszym ciągu bogactwa ogromne w dywanach o delikatnych barwach i perłowym połysku, w makatach, haftach i tkaninach. Nie kupujemy nic i wychodzimy żegnani prośbą, byśmy wrócili raz jeszcze na dalsze oględziny.

Lecz zaczynamy być głodni, a mamy kawałek drogi do hotelu, przytem zaś chcę wstąpić do konsulatu austriackiego. Przysłano mi akt do podpisu, który musi być legalizowany. Przepychając się szybko przez tłumy i minawszy załki bazarowe, w których odbywa się wśród

wielkiego krzyku sprzedaż starych kosztowności w drodze licytacji, dostajemy się nareszcie na szerszą ulicę »de la Kasba« i stajemy w parę minut przed konsulatem. Dowiadujemy się jednak, że jeneralnego konsula pana »Grubissich von Keresztur« niema w domu, wyjechał bowiem automobilem do Gouletty. Ma jednak niebawem wrócić. Zostawiam mą kartę wizytową z dopiskiem, że mam interes i że proszę o wyznaczenie godziny.

W hotelu kończymy śniadanie, gdy nasz Polak przychodzi z biletem jeneralnego konsula, który czeka w salonie. Idę zaraz i zastaję czterdziestokilkoletniego blondyna, który na moje niemieckie zapytanie odpowiada najczystszą polszczyzną. Nowe zdziwienie! Nazwisko »Grubissich von Keresztur« nie polskie przecie, chyba chorwackie. Pokazuje się z rozmowy, że p. Grubissich, syn wyższego oficera stacyonowanego w Galicyi, chodził do szkół i na uniwersytet częścią w Krakowie, częścią we Lwowie. Pokazuje się nawet, że mamy kilku wspólnych dobrych znajomych. Dowiedziawszy się, jaki mam interes, obiecał przysłać nazajutrz sekretarza konsulatu z pieczęcią, który za okazaniem paszportu sprawę na poczekaniu załatwi. P. Grubissich prosi mnie wreszcie, abyśmy go, jeżeli czas pozwoli, zechcieli odwiedzić. Jego żona bardzo się ucieszy. Jest Francuską urodzoną w Japonii z matki Japonki, z domu hrabianka »de Pourtalés-Gorgier«. Obiecuję chętnie naszą wizytę.

Dalsze zwiedzanie bazarów odkładamy na jeden z następnych dni, tymczasem zaś chcemy zwiedzić miasto i przypatrzeć się z jakiego wysokiego punktu najbliższej okolicy. Wsiadamy do tramwaju elektrycznego i jedziemy otwartym z obu stron wozem przez szeroką ulicę »al Djazira«, potem przez »Bab Djedid« i »Bab Menora«, które to ulice otaczają naokół cały ogromny labirynt wązkich uliczek i zaułków arabskiego miasta. Razem z nami jedzie piękny, młody Arab i trzy żydówki tunetańskie w swych malowniczych niesłychanie oryginalnych strojach. Z ciekawością przypatrujemy się kobietom, z których jedna młoda, może szesnastoletnia, jest skończoną pięknoscią klasyczną o szlachetnym profilu, klasycznie wykrojonych ustach, o białej, lekko zaróżowionej twarzy, wielkich czarnych oczach i długich rzęsach. Drugie dwie niemożliwie otyłe starsze kobiety. Każda co najmniej 110 kilo żywej wagi. Tłuste twarze, jednak noszą ślady minionej urody.

Czemś niezwykle oryginalnym jest strój tutejszych żydówek. Chodzą poprostu w ciasnych, szczelnie do ciała przylegających jedwabnych kolorowych spodenkach, jedwabnych pończochach i żółtych pantofelkach. Figura ujęta w szeroki pas z niebieskiej materyi. Plecy i pierś ujęta w obcisły również, krótki, do pasa sięgający czarny, bogato naszywany kaftanik, z pod którego widać białą koszulę. Na głowie jakby stożek, jakby głowa cukru z białej sztywnej materyi, z pod któ-

rego przykrycia głowy spada długa, cienka zasłona jedwabna, którą się całe okrywają. Ślicznie jest w tym stroju młodej, szczupłej jeszcze kobiecie, ale przekwitłe wdzięki robią w nim humorystyczne poprostu wrażenie. Spotykaliśmy później w Tunisie dużo żydówek i zauważyliśmy, że skłonność do nadmiernej otyłości jest u nich powszechną. Jako jedyne nieeuropejskie kobiety, chodzące tutaj z odkrytą twarzą, budzą oczywiście ciekawość, zwłaszcza, że młode, są prawie bez wyjątku bardzo piękne. Ale to trwa krótko, tyją bowiem szybko i już w 25 lub 30 latach dawna piękność przemienia się w wielką kulę tłuszczu. U starszych 40- i 50-letnich dochodzi to już wprost do karykaturalnych rozmiarów.

Co jest szczególniejsze, że w rysach twarzy tutejszych żydów zarówno kobiet jak mężczyzn nie ma ani śladu tych cech charakterystycznych, które w Europie znamionują rasę semicką. Daleko więcej semickie rysy mają tutejsi Arabowie. Żydzi tutejsi handlem prawie zupełnie się nie zajmują, ten bowiem znajduje się w rękach Arabów i nielicznych Europejczyków. Bogatsi żydzi są bankierami lub właścicielami ziemskimi, mają wielkie stada wielbłądów, bydła i owiec. Przeważnie jednak trudni się tutejsza ludność żydowska rękodzielnictwem. Tutejsi szewcy, krawcy, kowale są przeważnie żydami. Wszystkie prawie wyroby ze skóry, jedwabiu, wełny, metalu, drzewa, gliny sprzedawane przez Arabów w bazarach, są dziełem pracowitych rąk żydowskich i

ich artystycznego smaku. Arabskich rękodzielników niema, Arab bowiem jest z natury wielkim próżniakiem. Siedzi dzień cały w swym sklepie, poza tem jednak do żadnej pracy się nie zniży.

Wśród opowiadań Soussana o sposobie życia i zajęciach tutejszych żydów, dojeżdżamy do wielkiego placu i skwerów, obok których wznosi się na pagórku »Kasba« t. j. dawna cytadela arabska, obrócona obecnie na koszary francuskich zuawów. Wysiadamy z tramwaju i udajemy się w przeciwnym od Kasby kierunku, gdzie również na wzniesieniu znajduje się miejski pałac Beya »Dar el Bey«. Wnętrza nie mogliśmy jednak zwiedzić, gdyż Bey był właśnie tutaj, jako w dniu, w którym odbywa sądy.

Za to z płaskiego dachu pałacu, na który wychodzimy, mamy rozległy widok na całe u stóp położone białe miasto, na wzgórze belwederu z jednej, Kasbę zamykającą widok z drugiej strony i na dwie błyszczące powierzchnie słonych jezior »Al Bahira« i »Selkha Sedjoumi«, oraz całe otoczenie zieleni. Tutaj z góry odcina się wyraźnie cała różnica między wielkiem widnem z góry, jak powierzchnia białych tarasów dachowych, ze sterczącymi gdzieniegdzie wieżami minaretów arabskiem miastem, a wysuniętem ku brzegowi jeziora Al Bahira małym miastem europejskiem, z szerokimi, pełnymi zieleni drzew ulicami, wielkimi placami i skwerami i domami o pochylonych europejskich dachach.

Schodzimy na dół, rozciekawieni zapowiedzą Soussana, który nas obiecuje zaprowadzić na odbywające się właśnie w parterowych salach pałacu sądy arabskie w sprawach rozwodowych. Podczas bowiem gdy bey w otoczeniu dostojników sądzi w salach na piętrze sprawy kryminalne, a osobny trybunał wyrokuje w ważniejszych sprawach cywilnych między poddanymi beya, zasiadają równocześnie w dalszych salach dwa trybunały arabskie, rozstrzygające sprawy małżeńskie, mianowicie rozwodowe.

Francuzi wprowadzie od głośnego traktatu w Bardo rządzą krajem niepodzielnie i francuski generał-rezydent jest prawdziwym władcą całej Tunetanii; beyowi jednak zostawiają przyjemność sądzenia a nawet skazywania na śmierć swoich afrykańskich poddanych. Wypłacają beyowi 160.000 franków rocznie, utrzymują jego pałace, służbę, oraz gwardyę 600 żołnierzy, umundurowanych jak zuawi. Całe jednak rządy kraju sprawują sami, a we wszystkich sprawach, dotyczących Europejczyka, wydają wyroki francuscy sędziowie.

Przez wielkie, maurytańską kolumnadą otoczone i delikatną kamienną koronką ozdobione podwórze, wchodzimy do sali zapełnionej tłumem Arabów i zakwiefionych kobiet. Stąd przepychamy się do drugiej większej sali, gdzie urzęduje trybunał arabski. Przy wejściu odbierają nam laski i aparat fotograficzny, w sali bowiem sądowej niewolno niestety fotografować. Nie wolno prawdopodobnie dla tego, że poważni sędziowie nie

mogliby bez ujmy swej godności uciekać, zasłaniać twarze lub obracać się tyłem na widok nastawionego Kodaka, jak to na ulicach czynili wszyscy Arabowie, gdy tylko spostrzegli się, że chcemy fotografować. Przepisy bowiem koranu zabraniają wiernym portretować się, co przez analogię rozciąga się i na fotografowanie. To też wszędzie na ulicach widok wydobywanego aparatu wywołuje popłoch.

Wchodzimy do pierwszej sali sądowej, uwolnieni uprzejmie od obowiązującego Arabów zdejmowania obuwia na progu, i patrzymy z ciekawością na pełne godności twarze sędziów. — Na niskiej zielonej sofie siedzi z podwiniętymi nogami trzech bogato ubranych starych Arabów z siwymi brodami i z rękami farbowanymi na czerwono. — Takich pięknych szlachetnych twarzy starców, takich rozumnych oczów, takiego dostojęstwa w twarzy, ruchach i całej postawie nigdy jeszcze w życiu nie widziałem. Patryarchowie. — Przed stołem dwóch Arabów, z boku zakwefiona postać kobieca. Przy sędziach stoi młody Arab i mówi długo i płynnie. Chrapliwe dźwięki mowy arabskiej rozlegają się echem po sali. To pośrednik, rodzaj adwokata, przedstawiającego żądania męża, chcącego rozwieść się z żoną i oddać ją ojcu. — Sędziowie słuchają poważnie i uważnie. Po chwili zabiera głos drugi pośrednik, zastępujący interesa ojca żony. Soussan tłumaczy nam, że tu chodzi tylko o sprawy majątkowe między mężem kobiety a jej ojcem. W kwestyę bowiem rozwodu

sąd się nie wdaje. Każdemu Arabowi wolno każdego czasu rozwieść się z którąkolwiek ze swych żon i oddać ją ojcu, bratu, względnie opiekunowi. Ojciec jednak lub brat jest obowiązany zwrócić mężowi część sumy pieniężnej, jaką za żonę od męża otrzymał. Jest tu bowiem odwrotnie, jak u nas. Za żoną nie dostaje mąż żadnego posagu, prócz jej szat i ozdób, przeciwnie musi za żonę większą lub mniejszą kwotę zapłacić. W razie rozwodu musi ojciec lub brat część otrzymanej sumy zwrócić mężowi. Oznaczeniem wysokości tej części zajmuje się właśnie i rozstrzyga tę kwestyę sąd rozwodowy.

Soussan tłumaczy nam, że jeżeli żył długo ze żoną i ta postarzała się już, to ojciec albo całkiem nic nie zwraca, albo też nieznaczną tylko część. Natomiast jeżeli ktoś żonę w parę dni lub miesięcy oddaje, to prawie cała suma, z potrąceniem nieznacznego tylko procentu, musi być zwróconą. Trybunał rozstrzyga to według czasu trwania małżeństwa i według mniejszych lub większych szans oddania jej jeszcze komuś za żonę za większą lub mniejszą sumę pieniężną. Kobieta jest tu bowiem towarem, a w domu ojca czy brata, jak i w domu męża niczem innym, tylko niewolnicą. I jeżeli nie czuje swej niewoli i nieszczęścia, to dlatego chyba, że nie ma wyobrażenia o innym losie i o jakiej takiej swobodzie.

W drugiej obok sali taki sam trybunał sądzi znów takie sprawy rozwodowe, gdzie oprócz interesów majątkowych, chodzi także o przydziele-

nie dzieci. Trybunał rozstrzyga, które dzieci zostają przy ojcu, które zaś mają wraz z matką wrócić pod opiekę jej ojca lub brata. Zwyczajnie mniejsze dzieci płci żeńskiej oddaje trybunał matce. Jeżeli dzieci są już większe, wyżej lat 10 podobno, stosować się może trybunał do ich pod tym względem życzenia. Najdrażliwszą kwestyą bywa tu sprawa przysądzenia córek, gdyż córki to majątek, bo za nie bierze się później mniejsze lub większe sumy pieniężne.

Napatrzywszy się sądom, jedziemy tramwajem przez ulicę »Bab Benat« na plac »Halfaouine«. Wielki ten plac, zamknięty z jednej strony piękną wielką moszeą z minaretem, z innych zaś stron szeregami domów arabskich z kilkudziesięciu kryjącymi się pod arkadami domów kawiarniami, przedstawia nam tak barwny, tak ożywiony i tak pełen różnaitości i uroku obraz oryentalnego życia, zabawy i zwyczajów, że nie mogąc się nacieszyć poprostu tym widokiem, wracaliśmy na ten plac każdego dnia przed wieczorem, przypatrując się zasłuchanym w słowa opowiadaczy arabskich ludziom rozmaitych ras i barw twarzy, produkcyom zaklinaczy węzów, lub zabawom kawiarnianej różnobarwnej publiczności. Cała uboższa część mahometańskiej ludności Tunisu, z wyjątkiem oczywiście kobiet, ściąga tu na ten plac przed wieczorem. Widzimy półnagich murzynów, o atletycznej nierzadko budowie torsów i Berberów (kabyłów) o jasnych lub rudawych włosach i krępej budowie ciała, ubranych w grube weł-

niane pasiaste koszule z kapturem na głowę, rozchylone na nagich piersiach, sznurem lub rzemie-
niem w pasie ujęte. Widzimy suchych, wysokich Arabów we fałdzistych, głowę obejmujących i z pod zawoju aż do stóp spadających malowniczych haikach, w które cali się zawijają, zostawiając tylko jedną tylko wolną nagą rękę.

W jednym końcu placu produkuje się wśród częstych uderzeń w bęben kaznodzieja czyli właściwie opowiadacz bajek arabskich, a w około na ziemi potrójny wianek siedzących w kuczki zasłuchanych postaci. Opowiadacz ma śliczną, młodą, lekko śniadą twarz z wyrazem natchnienia. Jest maurem, nie ma bowiem zarostu na twarzy. Opowiada coś śpiewnie i rytmicznie po arabsku i co kilka słów uderza raz lub dwa razy w bęben. Twarze słuchaczy wyrażają zachwyt. Nie musi być smutnem to opowiadanie, bo jaśniejają oczy, rozchylają się w uśmiechu wąskie wargi. Wreszcie maur wypowiada kilka słów podniesionym głosem i uderza trzy razy w bęben. Słuchacze się podnoszą, rzucają po miedziaku. My czynimy to samo. Opowieść skończona. Soussan tłumaczy nam, że treścią opowiadania było wysławianie wdzięków kobiet z beduińskiego plemienia »Ulad Nail«, które to plemię dostarcza swych córek do kawiarni na tancerki. Była to zarazem reklama tych tancerek zakończona pobożnem »Chwała Allahowi, który stworzył kobietę!«

W drugim znów końcu placu opisuje się wobec licznych widzów poskramiacz węzów, grający

na fujarce. Przed nim na ziemi tańczące na ogonach t. j. kiwające podniesionemi do połowy długości ciał głowami dwa wielkie węże z małym różkiem na głowach. Obok poskromiacza dziecko, 6-cioletni może beduinek, który zbiera wciąż miedziaki na nastawioną miseczkę. Jeden z przypatrujących się kabyłów nie chce nic dać. Poskromiacz mówi coś do dziecka, które w tej chwili porywa jednego z węzów za głowę i uderza nim jak batem opornego kabyła przez twarz. Ogólna wesołość. Kabył oddala się wymyślając. — Druga część przedstawienia. Dziecko pozwala się kąsać węzom, przytykając sobie ich głowy do twarzy i nosa i krzywiąc się przy tem pociesznie.

Tymczasem słońce chyli się ku zachodowi. Sousan namawia byśmy jeszcze pojechali do fortu »Manouba« dla widoku miasta i okolicy o zachodzie słońca. Jedziemy przez ożywioną ulicę »Bab Djedid« aż mijamy kasarnię francuską i szczątki bramy miejskiej: »Bab el Gorjam« i znajdujemy się u stóp wysokiego pagórka. Na nim miał być niegdyś fort »Manouba«.

Widok z pagórka rozległy. Przed nami białe, niebieskawo białe teraz miasto, dalej jezioro Bahira, za niem portowa Goletta i różowiejący teraz w zachodzącem słońcu pagórek Kartaginy, a jeszcze dalej siniejące przestrzenie morza i pagórki otaczające daleką zatokę. Z drugiej strony wielkie łuki rzymskiego aquaduktu, niżej małe szerokim białym pasem kwitnącej soli otoczone jezioro »Sebkha el Sedjoumi«, dalej wielka równina

aż do widnego na krańcu widnokręgu pasma gór »Zaghouan«.

Ciemno już było zupełnie, gdy znaleźliśmy się z powrotem w hotelu. Pełno było i gwarno przy wieczornym obiedzie, przeważnie oficerowie francuscy i marynarze. Przy osobnym stole kilku generałów. Niemało też oficerów wojsk kolonialnych żuawów i spabisów; ci ostatni w ślicznych, barwnych, bogato naszywanych arabskich strojach. Przy deserze zawiadamia nas kelner, że sekretarz konsulatu czeka na mnie w salonie. Każemy więc sobie podać do salonu czarną kawę. Pan sekretarz, młody Wiedeńczyk, załatwia ze mną szybko formalności legalizacyi podpisu, po czem gawędzimy. Sekretarz nie jest zadowolony. Narzeka na brak towarzystwa i nudy. — Kilka pierwszych tygodni nie nudził się, zwiedzając miasto i okolice. Później jeszcze od czasu do czasu urozmaicał sobie pobyt dłuższymi wycieczkami do południowej Tunetanii. Ale bawi tu już 2 lata, Tunetanię poznał doskonale, zajęcia biórowego ma mało, czasu wolnego dużo, a towarzystwa żadnego. Jedna jedyna rozrywka, to wycieczki automobilem w okolicę. Na uwagę, że przecież w Tunisie jest tylu francuskich urzędników i oficerów, ludzi młodych przeważnie, między którymi miłych towarzyszy znaleźćby można, wyjaśnia oryginalne panujące stosunki, które stacyonowanym tu urzędnikom i oficerom nie pozwalają myśleć o zabawie i towarzystwie, lecz o tem tylko, by pracując gorliwie i żyjąc

jak najskromniej, spłacić jak najprędzej długi i zasłużyć w ten sposób na powrotne przeniesienie do Francyi. Życie bowiem w Tunisie i całej w ogóle Tunetanii jest bardzo tanie, pensye zaś otrzymują tutejsi urzędnicy i oficerowie daleko większe, niemal potrójne. Stąd jeżeli młody człowiek, żyjąc zbyt wesoło w Paryżu, narobi długów, tak, że mu już nikt więcej nie pożyczy, stara się o posadę w Tunetanii, gdzie żyje jak najskromniej i od wszelkiej stroni zabawy. — I z wyjątkiem jenerała rezydenta i kilku jeszcze może starszych jenerałów, wszyscy inni traktują swój pobyt tutaj jak kwarantannę. Życia towarzyskiego całkiem niema i nudno jak na wygnaniu.

Drugi dzień pobytu w Tunisie przeznaczylismy na wycieczki w bliższą okolicę. Przed południem pojechaliśmy do »Bardo« jednej z najciekawszych rezydencji panującego Beya. Obszerna budowa, której jedno skrzydło w ruinie, reszta jednak dobrze utrzymana, mieści w sobie koszary gwardyi Beya, muzeum »Alaoui« zawierające wielkie bogactwo inskrypcyj, fragmentów rzeźb, mozaik, bronzów i innych zabytków rzymskich, a obok tego wielki zbiór starych wyrobów orientalnych, majolik, kafli wzorzystych, wyrobów z miedzi i srebra, dywanów, makat

W najlepiej utrzymanem skrzydle mieści się wspaniały kolumnowy dziedziniec maurytański, z którego wchodzi się do apartamentów, to jest szeregu wielkich i małych sal, w których od przepychu maurytańskich ozdób, delikatnych kamien-

nych koronek i stiuków, wykładanych kaflami ścian i stropów, dziwnie odbija banalne europejskie umeblowanie, kryte lichym pluszem barokowe karła, oraz liche obrazy w złoconych ramach i portrety wszystkich europejskich panujących. Towarzyszący nam stróż pałacu, były turecki oficer, mrukliwy i nienawistnym mierzący nas wzrokiem, zmienił się do niepoznania poczawszy wsuniętego do ręki franka. Stał się naraż wymownym, przestał się spieszyć i przeciw fotografowaniu wnętrza nie remonstrował.

Obok »Bardo« położonego nowego pałacu »Ksar-said«, z powodu obecności Beya zwiedzić nie mogliśmy. Atletycznej budowy murzyn wzbrowił nam stanowczoewstępu.

Po spożytym w hotelu śniadaniu udała się moja żona w towarzystwie sprowadzonej przez Soussana Francuski, zwiedzić harem jednego z zamożniejszych Arabów, my zaś udaliśmy się tymczasem z Soussanem na przechadzkę po mieście arabskiem. Zwiedziliśmy nieznaną nam jeszcze część bazarów, gdzie sprzedaje się same tylko wiktuały, owoce, chleb, ser, ryby, mięso, gdzie są liczne arabskie garkuchnie, w których gotuje się publicznie w kotłach nad ogniem jakieś pachnące tłuszczem potrawy, gdzie przyrządza się ulubioną arabską potrawę »Kus-kus«. Jest to bryja z ryżu, okraszona wszystkim co Bóg dał. Są tam poszarpane kawałki rozmaitych mięs, ryb, jarzyn i owoców. Bogaty okrasza swój »Kus-kus« baraniną, drobiem i rybami, uboższy jarzynami i trawą.

Widzimy wśród tych ulicznych kuchni nagie, jakby z brązu wykute, tęgie torsy murzynów, ubijających i miażdżących kawę paloną w wielkich moździerzach cetnarowymi tłuczkami z charakterystycznym przy tej pracy stękanem. Niezbyt miłe zapachy tych garkuchnianych uliczek wypędziły nas stamtąd. Mijając ulice cyrulików i golarzy, gdzie murzyni lub żydzi gołą publicznie łby Arabów, mały tylko na czubku głowy zostawiając oseledec, gdzie farbują henną palce i paznokcie, dochodzimy do umówionego miejsca spotkania się z powracającą z haremu żoną, przed wielką moszeą »Djana-ez-Zitouna«.

Chętnie zwiedzilibyśmy wnętrze wspaniałego meczetu. Niestety w Tunisie to niemożliwe. Można by się narazić na pchnięcie kindżałem ze strony Arabów, a względnie na aresztowanie i dotkliwą karę pieniężną ze strony władz francuskich. Szanując tutejsze zwyczaje religijne i nie chcąc drażnić fanatycznych Arabów, zabrania i rząd francuski niemahometanom wstępu do wszystkich moszei w całej Tunetanii z wyjątkiem jednego miasteczka Kairuanu. Postępowanie to uczciwe i rozumne, odbijające jaskrawo od nietolerancyi religijnej i gwałtów, praktykowanych przez ten sam rząd wobec katolików we Francyi.

Tymczasem wraca moja żona, zachwycona wizytą w haremie i pięknnością kobiet. Aż nam żal, że nas nie chciano zaprowadzić do haremu. — W haremie było trzy tylko prawowite małżonki, z których dwie bardzo piękne. Prócz tego jednak

cały legion córek, kuzynek, razem kilkanaście kobiet prócz służebnic. Damy te ucieszyły się bardzo odwiedzinami, jako pożądaną rozrywką w ich monotonnem życiu. Służące przyniosły dwa europejskie stołki, podczas gdy haremowe niewiasty zajęte robótkami ręcznymi, siedziały na dywanach. Rozmowa odbywała się oczywiście przez tłumaczkę Francuskę. Wielkie zainteresowanie obudziła suknia, a zwłaszcza zegarek, łańcuszek i broszka mej żony. Przyprawiono dzieci, małych arabków z uczerwienionemi paluszkami. Żona ucałowała przedstawione jej dzieci, co wzbudziło taką zazdrość innych matek, że i ich dzieci musiała żona po kolei oglądać i całować. Potem zwiedziła oprowadzona przez kobiety apartamenta haremowe z wyjątkiem kuchni i pralni ciasne, ciemne i niewygodne, oraz obszerne i nader wygodne apartamenta nieobecnego wtedy w domu męża i pana, jego sypialnię, łazienkę i pokój jadalny, w którym jada zawsze z najstarszym tylko synem, bez kobiet.

Resztę dnia poświęciliśmy przejażdżce i przechadzce po olbrzymim niedawno widocznie założonym parku »du Belvedere.« Na pagórkowatej, przeszło 100 hektarowej przestrzeni, obejmującej małe gaje, strumyki i jeziorka, w ostatnich kilkunastu latach nasadzono więcej drzew; pobudowano pawilony restauracyjne, kawiarnie i kioski w stylu maurytańskim, porobiono drogi jezdne i ścieżki dla pieszych, a wreszcie w najwyższem miejscu parku zbudowano przed kilku laty na

przyjęcie prezydenta Loubeta, cacko architektoniczne, coś jak pałacyk arabski, coś jak wielka al-tana, obrawszy w tym celu wszystkie pałace Beja, Bardo, Marsa i inne z najpiękniejszych alabastrowych kolumn i kamiennych rzeźb i koronek. I stworzono prawdziwe cudo, białe, lekkie i powiewne, z pod którego arkad i łuków prześliczny istotnie widok na Tunis, jezioro, wybrzeża morskie i całą malowniczą okolicę.

Siedząc wśród tych delikatnych jak z cukru kolumnienek, z widokiem na białe u stóp miasto, pełne kopuł moszei i strzelistych minaretów, widząc przesuwające się ścieżkami parku grupy białych postaci Arabów oraz czerwone barnusy, błękitne zawoje i krzywe szable spahisów, poniżej zaś drogą jezdnią prowadzone przez ludzi w długich białych szatach juczne wielbłądy — oddycha się naprawdę powietrzem Wschodu; mimowoli przypominają się czytane w dzieciństwie książki z obrazkami, bajki z tysiąca i jednej nocy.

Trzeci dzień poświęcamy na dłuższą całodniową wycieczkę na pola Kartaginy, do »Marsa« i »Sidi bou Said.« Ruiny Kartaginy sprawiają nam wielki zawód, odznaczają się bowiem tem, że ich nie ma. Jest tylko wielka falista równina, zieleńiąca polami jęczmienia i szarzejąca kamieniami nieużytkami, wśród której góruje kaplica św. Ludwika i z dala widna wspaniała nowa katedra, zbudowana staraniem kardynała Lavigérie na miejscu, gdzie niegdyś stała cytadela punickiej Karta-

giny. Tu i owdzie porozrzućane po równinie grupy szarych kamiennych szałasów Beduinów.

Ku wschodowi widnieje w oddali przylądek kartagiński z osłepiająco białą plamą domów letniej osady arabskiej »Sidi bou Said«. Na południu szafirowa tafla jeziora el Bahira, za którem sterczą skaliste szczyty gór »Djebel bou Kournine« i »Djebel Zaghuan«. Okolica ciekawa bardzo. Ale ruiny? Gdziegdzie poodkopywano trochę szczątków amfiteatrów, łaźni, świątyń, ale rzymskich, nie punickich. Setki piękniejszych, rozleglejszych i o wiele lepiej utrzymanych ruin rzymskich widać się we Włoszech, Sycylii i Dalmacyi. Nie budzi to więc interesu. Ze szczątków punickiej Kartaginy przechowały się tylko resztki cystern, dlatego prawdopodobnie, że Rzymianie ich potrzebowali i restaurowali.

Zresztą zburzyli widać Rzymianie punicką Kartaginę tak gruntownie, że nic z niej nie pozostało, a trochę wykopalisk punickich, naczyń glinianych i fragmentów rzeźb w muzeum — jest wszystkim, co po Kartagińczykach pozostało.

Wśród jakichś resztek amfiteatru rzymskiego, pod wielkim kamieniem, z którego z melancholijną zazdrością przygląda się nam olbrzymia szara jaszczurka, spożywamy śniadanie. O parę kroków od nas gęstwa olbrzymich kaktusów, okrytych pięknym kolczastym owocem, ulubionym przysmakiem ludności zarówno w Sycylii, jak tutaj. Figi kaktusowe nie dojrzały jednak jeszcze o tej porze. Żona sięga naraz po jedną z tych fig kol-

czastych, sądząc, że przez rękawiczkę można urwać. Soussan zrywa się i błyskawicznym ruchem ściąga żonie rękawiczkę i odrzuca wraz z figą daleko w krzaki. Owocu tego nie można zrywać ręką, nawet przez rękawiczkę — tłómaczy — bo włoskowate kolce, ułamując się, powodują opuchnięcie i długotrwały ból. Wyjąwszy kolce o ile się dało, jedziemy do widnego zdala »Sidi bou Said«.

Dojeżdżamy nad sam urwisty brzeg morza i wdzieramy się powoli wśród kaktusowych zarośli na wzgórze, na którym świeci ciche białe miasteczko. Ciche istotnie, umarłe. Białe jak płaskie pudełka domy, niektóre bogato zdobne w kamienne koronki i stiuki pod arkadami kolumn; ciche, puste uliczki. W całym tem miasteczku niema teraz ani jednego mieszkańca. Pozamykane szczelnie domy, bo miasteczko to, to letnia kąpielowa osada bogatych arabskich kupców z Tunisu. O tej porze nie mieszka tu nikt. Dopiero z końcem maja zaczyna się ożywiać miasteczko i na letnie miesiące zapełniają się domy szukających ochłody w morskiej kąpeli Arabów i ich haremów. Dla kobiet widzi się na dole wsunięte w morze wielkie kamienne łaźienki, gdzie kąpać się mogą, niewidzialne oczom naszym. — Prześliczny widok z przed tego miasteczka, z urwistej nad morzem skały, na białe pałace Beya i jego braci w la Marsa, na przestrzenie morza i długą linię wybrzeża.

Wracamy na dół, konwojowani przez kilku chłopców beduińskich, którzy się naraz zjawili i otoczyli nas, wyciągając błagalnie ręce i wymawiając jakieś wyrazy. Pierwsi w tym kraju spotkani żebracy. Lecz, jak Soussan objaśnił, zebrali tylko o tytoń. Uszczęśliwieni kilku papierosami, zaprowadzili nas do niedaleko na dole położonych swych »gurbi« kamiennych. Na spotkanie wyległa cała rodzina beduińska. Stara kobieta i dwie dziewczyny, jedna kilkonastoletnia wcale ładna. Bez jaszmaków, bo beduińskie kobiety nie zakrywają twarzy. Weszliśmy do gurbi, lecz cofnęliśmy się zaraz, wystraszeni ciasnotą i brudem. Chciałem fotografować dziewczynę, lecz ojciec, wysoki i suchy beduin, oburzył się ogromnie i kazał kobietom ukryć się w gurbi. Nawet za hojny datek kilkunastu papierosów nie pozwolił im wyjść. Za to najstarszy syn Mohamed, piękny istotnie chłopiec, pogonił potem za nami, ofiarując się za papierosa pozować do fotografii.

Wśród coraz liczniejszych kamiennych szałasów beduińskich nomadów, wśród stad kóz i owiec, wracamy do powozu i jedziemy ku wzgórzom. Zwiedzamy kaplicę Ś. Ludwika i seminarium »białych braci« afrykańskich i muzeum kartagińskie, a wreszcie monumentalną, górującą nad całą okolicą katedrę w stylu bizantyńsko - maurytańskim, ukończoną przed 16 dopiero laty. W niej grobowiec fundatora kard. Lavigerie, wielkiego dobrodzieja i największej postaci całej północnej Afryki francuskiej. Pracę jego znać tu wszędzie

i w Tunetanii i w Algierji aż do granic Sahary. Jego dziełem są i liczne klasztory białych braci i seminarya duchowne i to muzeum koło kaplicy Ś. Ludwika, w którym zgromadzono skrzętnie wszystko, co tylko z odkopanych starych grobów punickich, oraz z zabytków cywilizacyi rzymskiej i chrześcijańskiej wybierać się dało. Jemu i rolnictwo tego kraju zawdzięcza swój obecny rozkwit.

Ze wzgórza katedralnego podziwiamy widok na port punickiej Kartaginy, wrzynający się w ląd regularnem półkolem wodnem, zamkniętem wąskim paskiem starożytnego kanału, łączącego wewnętrzny port z morzem. Wreszcie jedziemy jeszcze do pełnej zieleni ogrodów i pałaców arabskich i europejskich wil nadmorskiej osady kąpielowej »el Marsa«. Tu rezyduje przez lato cały, europejski Tunis. Jest tu letni pałac francuskiego generała - rezydenta i letnia arcybiskupia rezydencya wśród rozległych przez kardynała Lavigerie założonych ogrodów owocowych i winnic. O zmroku już wracamy do Tunisu.

Ostatnie dwa dni pobytu poświęcamy na dokładniejsze jeszcze zwiedzenie bazarów, gdzie kupujemy trochę makat i tkanin arabskich. Odwiedzamy też jeszcze europejską część miasta; w niedzielę jesteśmy na sumie w nowym pięknym kościele w maurytańskim stylu budowanym i urządzonym. Odwiedzamy też rodaka, jubilera Drzyżdzińskiego i zostawiamy bilety państwu Grubisichom, których nie zastaliśmy w domu. Godziny

popołudniowe poświęcamy na przechadzki to nad jeziorem pełnym flamingów, to po parku miejskim; — odwiedzamy kilkakrotnie jeszcze najciekawszy pod względem etnograficznym plac »Halfaouine« z jego kawiarniami i przysłuchujemy się znowu niezrozumiałym rytmicznym dźwiękom opowiadań wybijających takt na bębnie kanzodziei arabskich i sztukom z węzami i całemu temu barwnemu życiu.

Ostatni wieczór przepędzamy w »Casino Theatre« na mieszanem francusko - arabskiem, przypominającym wiedeńskiego Ronachera, przedstawieniu, wśród mieszanej też, części arabskiej, częścią zaś francuskiej i włoskiej publiczności. W czasie przedstawienia miałem sposobność zauważyć, że jednak mimo poprawnego zupełnie wobec ludności arabskiej stanowiska władz francuskich, stosunek ludności francuskiej do Arabów nie jest dobrym i to nie z winy Arabów. Prawda — zimny z natury Arab patrzy z góry z uczuciem wyższości i z niechęcią na ruchliwego i żywo gestykulującego Francuza, ten jednak płaci mu za to brutalną nieraz niegrzecznością, wobec której pozostaje Arabowi jedyna broń słabego, spojrzenie pogardy i pełne godności milczenie.

Konstantyna, 27 lutego.

O ósmej rano siedzimy już w wagonie pociągu, mającego nas w szesnastu godzinach za wieść do Konstantyny. Z żalem żegnaliśmy wielkie i tak oryginalne białe miasto; jedynem uczuciem, jakie nas w chwili wyjazdu opanowało, było pragnienie wrócić tu raz jeszcze na dłużej i zwiedzić przy tej sposobności miasta i oazy południowej Tunetanii.

Wagony pociągu urządzone wygodnie. Każdy wagon ma zewnętrzny opatrzony żelazną poręczą balkon, za którego pośrednictwem można przejść z jednego przedziału do drugiego, a przez poprzeczny, przecinający wagon na dwie połowy korytarzyk na taki sam od połowy do końca wagonu sięgający balkon po stronie przeciwnej. To w tym klimacie zupełnie odpowiednie i bardzo wygodne urządzenie pozwala na przechadzanie się w czasie jazdy i na swobodne obserwowanie okolicy.

Z początku naokoło kraj dobrze uprawny, gęsto zaludniony, malowniczy obramieniem dalekich

gór i pagórków. Gęste kolonie francuskich i włoskich osadników, zielone łąny jęczmienia, wielkie winnice, otoczone żywopłotami kaktusów i agaw. Gdzieniegdzie gaje oliwne, sady pomarańcz, cytryn i innych bezlistnych teraz drzew owocowych.

W miarę jednak jak wjeżdżamy coraz dalej w dolinę rzeki Medjerdach, płynącej głęboko w skałach wyłobionem korytem, okolica staje się coraz romantyczniejszą i dzikszą. Góry i urwiska zbliżają się, widnokrąg się zacieśnia, ślady kultury znikają. Tylko gdzieniegdzie w pobliżu obsadzonych gajami eukaliptusów stacyjek kolejowych widać jeszcze tu i owdzie młode francuskie kolonie i szare gurbi Beduinów.

Po dalszej godzinie jazdy wciąż doliną tej samej rzeki, pasma gór cofają się w głąb, oddalają się i maleją. Jedziemy odtąd cały szereg godzin przez wielką pustynną równinę, zarośniętą nieprzejrzaną gęstwią rozmaitych kolczastych krzaków, karłowatych cytryn, myrtów, tarniny, agaw i kaktusów i tem podobnej karłowej roślinności drzewnej.

Olbrzymie te, bezludne zupełnie i dzikie przestrzenie dżungli, nie należą, jak się zdaje, do nikogo. Może to nominalna własność rządu francuskiego, może ziemia niczyja, którą każdy brać i uprawiać może, to pewna, że godzinami całemi, oprócz coraz rzadszych eukaliptusami otoczonych stacyjek, nie widać żadnych mieszkań ludzkich, żadnych śladów uprawy, żadnych dróg, na-

wet szałasów nomadyzujących Beduinów nie można nigdzie wysledzić.

Gdziekolwiek w nieprzebytem morzu kolczastych krzaków małe przerwy i polanki, bujną zarosłe trawą, wskazują, że ziemia tu żyzna, zabrać się jednak do niej i karczować te krzaki nie ma jeszcze komu.

Na jednej z małych stacyjek wśród dżungli, gdzie pociąg dla nabrania wody ma stać 10 minut, wyskakuję z wagonu, by przypatrzeć się bliżej tej kolczastej roślinności. Ubiegłszy kilkanaście kroków jestem już przed nieprzebytym murem roślinnym. Z radością rozpoznaję dobrze znajomą, używaną u mnie na żywe płoty koło szkótek lasowych dziką pomarańczę Osaga, zwaną po łacinie *Maclura aurantiaca*, rozkrzewiającą się bujnie i opatrzoną długimi ostrymi kolcami. Roślina ta jest, jak się pokazuje, panującym wśród tych zarośli krzewem.

Co tu zwierzyny być musi, wśród tych dżungli i bujnych traw. Tylko polowanie nie łatwe, bo człowiek nigdzie się tu nie prześliznie. Z wagonu jednak widać tylko liczne, kraczące wysoko ptaki drapieżne. Raz tylko zwrócił naszą uwagę jakiś wielki kolorowy ptak Chasseur d'Afrique, jak go nazwał konduktor. Nazwano go tak z powodu świetnego upierzenia o tych samych barwach co mundury jednego z pułków tutejszych wojsk kolonialnych. Raz również widzieliśmy smyrgające w gęstwinie małe rdzawe kuropatwy.

Godzinami przypatrujemy się nienasyceni tym choć tak jednostajnym widokiem pustynnych dzie-

wicznych przestrzeni, chodząc po galeryjkach wagonu. Dopiero koło 2 popołudniu zmienia się charakter okolicy. Góry zbliżają się znowu, widok się zacieśnia, karłowa roślinność dzungli ustępuje powoli miejsca większym drzewom, korkowe dęby, cyprysy i araukarye sterczą coraz gęściej z pośród krzaków. Zdjęta tu i owdzie pasami kora dębów korkowych zdradza już obecność człowieka. Wreszcie większy las ekaliptusów. Pociąg zwalnia. Większa jakaś stacya z położoną obok osadą kolonistów.

— *Rhardimaou! On visite le bagage!* — wywołuje konduktor.

Jesteśmy na granicy francuskiego protektoratu Tunetanii i francuskiej kolonii Algeryi.

Rewizya graniczna jest jednak, jak widać, pozostała tylko z lat dawniejszych formalnością. Ruchliwy i wesoły młody urzędnik spogląda tylko przez drzwi na leżące na siatkach torbeczki; wielkich kufrów wydobytych z wozu pakunkowego również nie każe otwierać. Po półgodzinnym postoju ruszamy dalej. Coraz piękniejsze, choć rzadko zadrzewione lasy. Mijamy europejskimi domami zabudowane miasteczko Souk-Arras, za którem linia kolei porzuca piękną lesistą dolinę rzeki Madjordy i wielkim łukiem zbliża się ku góróm.

Odtąd jedziemy wśród przepięknej, górzystej, lesistej, pełnej łąk górskich i małych szumiących kaskadami potoczków okolicy; wśród ciągłych zakrętów, skalistych wrębów i tuneli. Gdzieniedzie

małe europejskie osady i laski dębów korkowych, a pod szczytami gór tu i ówdzie jeszcze małe płatki śniegu.

Przejeżdżamy najwyższy punkt kolei, przełęcz Fejd Makla i zjeżdżamy szybko wśród zgrzytu hamulców w wąską śliczną dolinkę szumiącego potoku Qued Melah. Niestety ściemniać się już zaczyna. Miasteczko Duvivier widzimy o zmroku. I już w zupełnej czarnej nocy mijamy piękną podobno okolicę Guelmy i zakładu kąpielowego Hammam Meskhoutine. Wreszcie po północy dojeżdżamy do oczekiwanej z utęsknieniem Konstantyny.

Nazajutrz o g. 7 rano byliśmy już na nogach, chcąc w przeciągu jednego dnia zwiedzić Konstantynę, by jak najprędzej dostać się na dłuższy pobyt do głównego celu wycieczki, oazy Biskra. Wyruszyliśmy więc odrazu z przewodnikiem hotelowym, młodym, krępyim kabylem nazwiskiem Kadel, na miasto.

Do południa zwiedzamy miasto, jego arabską i kabylską dzielnicę, kilka moszeji, pałac Hadzi Achmeda, ostatniego beya Konstantyny, prześlizgnięty, z moszeji przerobiony kościół, bazyliki, wreszcie europejską część miasta. Całe zaś popołudnie aż do zmierzchu poświęcamy na zwiedzenie otchłani, naturalnych bram skalnych i wodospadów rzeki Rumel, która miejscami na 200 metrów głębokiem wśród skał wyżłobionem korytem opasuje z trzech stron miasto, nadając mu pozór wielkiej, wyniosłej kamiennej wyspy, naturalnej

obronnej twierdzy, do której dostęp z trzech stron o powodu prostopadłych, dziko poszarpanych ścian otchłani, zupełnie niemożliwy.

Wnętrze miasta nie zrobiło na nas ani pod względem architektonicznych ciekawości, ani pod względem etnograficznym większego wrażenia. — Ta sama, co w Tunisie, mieszanina typów ulicznych, tylko że tutejsi Arabowie jacyś biedniejsi i nie tak dumni, kabyłowie jeszcze brudniejsi, żydówki młode mniej piękne, a przytem znacznie tu więcej niżeli w Tunisie ludności europejskiej, przeważnie francuskiej. I bazarzy tutejsze mniejsze, uboższe. Zwraca w nich uwagę ogromna produkcya wyrabianych w całym szeregu wąskich bazarowych podcieni wszelkiego rodzaju wschodniego obuwia. Tysiące pracujących gorliwie żydów, kabyłów i murzynów zajętych jest przykrawaniem skóry i szyciem rozmaitych pięknych, marokinowych i safianowych, czerwonych, złotych, zielonkawych i czarnych pantofli skórzanых. Chyba cały świat arabski zaopatrują tą masą obuwia. Również wyrób burnusów arabskich cały szereg uliczek zajmuje. Na innych znowu uliczkach wyrabiają dywany, tkaniny, przedmioty żelazne, miedziane i srebrne. Słusznie wiadać uchodzi ludność rękodzielnicza tego miasta za najpracowitszą w całym mahometańskim świecie. Mimo to tutejsze bazarzy nie robią tego wrażenia przepychu i bogactwa, jak bazarzy w Tunisie. Bo wielki handel skupia się tu nie w rękach Arabów, lecz Francuzów, którzy nie w ciasnych

uliczkach bazarowych, lecz na szerokiej Rue nationale mają swe sklepy i magazyny.

Napatrzywszy się ruchowi bazarów, wchodzimy z kolei do tutejszych moszei. Przedewszystkiem do wielkiej moszei przy Rue nationale, zwanej Djam-el-Kebir. Tutaj wolno i giaurom zwiedzać wnętrza mahometańskich świątyń, nawet trzewików zdejmować nie trzeba, tylko wdziewa się na trzewiki wypożyczone w tym celu papucie filcowe. Potem oglądamy jeszcze dwie większe moszee Sidi Sakhdor i Salah Bey i rezygnujemy ze zwiedzania kilkudziesięciu dalszych moszei, gdyż wnętrza podobne do siebie, jak dwie krople wody. Te same wszędzie lasy marmurowych kolumn, podtrzymujących łuki maurytańskie, te same zdobne w majolikowe wykładania ściany i stropy.

Zwiedzamy wreszcie pałac ostatniego arabskiego władcy Konstantyny Hadzi Achmeda, ogromny, ale brzydki na zewnątrz, wewnątrz jednak ze swymi piętrowymi dziedzińcami, otoczonymi szeregiem lekkich powiewnych kolumn i ażurowych łuków, i z wielkim, pełnym egzotycznej zieloności ogrodem, bardzo ciekawy. Oprócz delikatnych kamiennych koronek i barwnych kafli, zdobią też ściany krużganków i sal pałacu niezdarne bardzo, jakby ręką dziecinną, jakby na żart malowane freski.

Przewodnik Kadel objaśnia nas, że wielki Hadzi Achmed kazał pod grozą strasznej śmierci ozdobić ściany małowidłami wziętemu do niewoli

francuskiemu kucharzowi. Kucharz miał być wprowadzić mistrzem w sztuce kulinarnej, ale o rysunku, perspektywie żadnego nie miał pojęcia, malować jednak musiał i malował przez trzy lata podobno i wszystkie ściany pałacu freskami pokrył. I znać po tych naiwnych z początku, potem zaś coraz lepszych malowidłach, że doszedł powoli do pewnego zamiłowania i wprawy, tak, że ostatnie malowidła nie bardzo już nawet rażą. Cała ta jednak historia kaprysu krwawego arabskiego tyrana i nieszczęśliwego kucharza Francuza obniża nam wyidealizowaną w duszy pamięć bohaterskiego obrońcy arabskiej niepodległości tego miasta i kraju. Jak można było być takim barbarzyńcą, by dobrego francuskiego kucharza przez trzy lata po całych dniach zatrudniać malowaniem ścian.

O ile wewnątrz miasta po piękniejszym daleko Tunisie nie może zachwycić, o tyle niezapomnianych i niezatartych nigdy doznaliśmy wrażeń, przejechawszy popołudniu tam i z powrotem prowadzącą tuż nad otchłanią rzeki Rumel drogą Rue de la Corniche. Cudowna droga! I nie da się wprost opisać tych romantycznych widoków sterczącego na urwistej skale miasta, głębokich przepaści szumiącego gdzieś hen na dole, kryjącego się pod ziemią, to znów rzucającego się z szumem w przepaść Rumlu — i wspaniałej sceneryi zamykającego widnokrąg otoczenia wysokich gór. Prawdziwie orle gniazdo ta Konstantyna. Równie romantycznego w takiej bliskości

otoczenia nie ma chyba żadne z najpiękniej położonych miast świata.

Schodzimy potem spadziłą w skale wykutą ścieżką po licznych stopniach nadół do otchłani Zapłaciwszy należytość, wchodzimy na niedawno zbudowaną, częścią w skale wykutą, lub na żelaznych trawersach do prostopadłych skał przyczepioną ścieżkę: chemin des touristes. I nagle znajdujemy się wśród zupełnej dziczy. Miasto tuż nad naszymi głowami, ale stąd go nie widać, tylko szumiący potok u stóp, tylko cały szereg naturalnych tuneli, mostów i arkad skalnych, wyżłobionych przez spienione wody, i wrzawa ptactwa: mnóstwo gołębi skalnych i polujące na nie orły i sępy nad głowami. Wąski, ożywiony tylko rojem ptasim pas błękitnego nieba w górze, szumiący kaskadami potok u stóp, a przed nami, nad wielkim wodospadem, gdzie rozszerza się wąwóz, igrające w rozpylonej wodzie i w blasku słonecznym jaskrawe tęcze. Niezapomniane wprost i co krok dziksz, co krok piękniejsz, ciągle zmieniające się a pełne nieopisanego uroku widoki!

Dochodzimy do końca ścieżki turystów, aż pod wielki wodospad. Spoczywamy tu pół godziny, gdyż po raz pierwszy w Afryce prawdziwe gorąco daje się nam we znaki. Potem wracamy tą samą 2 kilometry długości ścieżką, w miłym chłodzie zacienionego wąwozu mijamy wejście którym tu zeszlśmy i po pod nowe naturalne bramy skalne docieramy do drugiego końca ot-

chłani z małym gaikiem palmowym i naturalnymi siarczanymi termami.

Ze skały tryskają tu obfite gorące siarczane źródła. Wypełniając naturalne zagłębienia skał, jakby nieforemne olbrzymie wanny, przelewają się swym dymiącym nadmiarem do potoku. Są tu dwa takie naturalne baseny, w których kąpią się tłumy Arabów, żydów i Kabyłów. Nie zmieniono tu nic, nie ukruszono nawet nisko się zwieszających nad basenami urwisk skalnych i schylać głowę muszą ci, co wchodzą do tych dymiących gorącą parą basenów. Natomiast po drugiej stronie dwa inne źródła ujęto w sztuczne, zabudowane i dachami nakryte baseny. To kąpiele dla Europejczyków i dla kobiet.

Po zwiedzeniu tych oryginalnych kąpielii wracamy na górę, i kierujemy się ku wypełnionym teraz setkami białych namiotów i tysiącami biało ubranych ludzi łagodnym wzgórzom. Przewodnik Kadel prowadzi nas w te tłumy Arabów, którzy dziś właśnie obchodzą wesołe święto wiosny.

Święto to później w tym roku przypadło — objaśnia nas Kadel — gdyż dopiero wczoraj zauważono, że bociany przyleciały. Ze zdziwieniem dowiadujemy się, że bociany gdzieś o wiele dalej na południu zimują, a tu przylatują z wiosną zupełnie jak do nas, tylko wcześniej o kilka tygodni. Budują sobie gniazda na zakładanych na drzewach kołach i daleko jeszcze większą czcياً otacza te ptaki tutejsza arabska i kabylska ludność, niż nasi chłopci. Bocian to tutaj święty ptak. Ich

powrót z wiosną, to święto powszechnej radości. Kto żyje i Mahometa wyznaje, wylega wtedy za miasto, na łąki, wzgórze i weseli się, jak umie. I widzimy tę wesołość i uciechę białych tłumów naokoło. Są tu i widowiska, i zaklinacze węzów i opowiadacze, i urządzone na prędcy pod namiotami kawiarnie, i gonitwy dzieci i starszych, i konkretne fantazyje arabskie i produkcyje wesołych córek beduińskiego szczepu Uład Nail, popisujących się z odkrytą twarzą i piersiami tańcem brzucha i monotonnym śpiewem.

Zbliżamy się ku większemu tłumowi Arabów, skąd dolatują dźwięki dziwnej jakiejś muzyki. Przepychamy się przez tłumy aż do miejsca wolnego, gdzie tańczą almee. Przynoszą nam łąkę, podają czarną kawę. Monotonna, wrzaskliwa, rozdzierająca wprost uszy muzyka i urągający wszelkim estetycznym pojęciom taniec. Już to żadna z tych beduińskich »wesołych cór« nie skusi chyba Europejczyka. Grube w pasie, z szerokimi brunatnymi twarzami i czarnym znakiem na czole, wykonują w tak zwanym tańcu, dzikie, konwulsyjne ruchy, przeginając się i kurcząc tak, że brzuch wznosi się do wysokości niekształtnych piersi. Arabom jednak bardzo się to podoba. Muzyka urywa przeraźliwym zgrzytem. Tancerki zbierają datki. Od nas oczywiście zaczynają. Jedna z tancerek zarzuca na głowę naszego towarzysza czerwoną chustę na znak żywej sympatii. Inna to samo ze mną czyni. Wykupujemy się od wątpliwej przyjemności, dając po franku. Płaci-

my za kawę i odchodzimy. Tłumy Arabów zaczynają się już przeredzać. Słońce zachodzi. Wracamy do miasta przez wspaniałą most »El Kantara«, rozpięty nad 200 metrów głęboką otchłanią Rumlu. Poniżej nieco ruiny starego rzymskiego mostu. Wraz z nami ciągną do miasta tłumy Arabów. Ostatni rzut oka z mostu na wspaniałą panoramę dzikich urwisk otchłani i wysokich w oddali gór Atlasu. Wchodzimy między wysokie kamienice europejskiej ulicy Rue nationale i wracamy zmęczeni ogromnie do hotelu.

Po obiedzie przechodzimy na czarną kawę do czytelnicy, gdzie wolno palić. Zastajemy 5 osób: 4 mężczyzn i 1 kobietę, kłócących się w sposób dość nieprzyzwoity po polsku. Z początku nie zdradzamy się słowem. Towarzystwo to też, nie krępując się wcale, prowadzi dalej rozpoczętą kłótnię. Chcąc ich uciszyć, zamieniamy ze sobą głośno kilka słów po polsku. Pomogło natychmiast. Odtąd jednak i w Biskrze i w El Kantarze i w pociągu unikali nas rodacy z Warszawy i mimo kilkakrotnych spotkań nie zamieniliśmy z nimi ani słowa.

Biskra, 1 marca.

Niezbyt wygodną była ośmiogodzinna jazda kolejowa do Biskry. Pociągi na tej linii, a jak się przekonaliśmy później, na wszystkich starszych liniach w Algeryi nie grzeszą ani wygodą, ani możliwem europejskiem urządzeniem. Wagony nie przechodnie, takie, jakich u nas nawet na lokalnych liniach już niewiele, z ciasniejszymi jeszcze przedziałami. Podobno wszystkie starsze koleje w Algeryi należą do prywatnych towarzystw, które, uzyskawszy od rządu wielkie nadania ziemi, budowały koleje, zastrzegając sobie długoletnie ich posiadanie i aż do terminu wykupna nie można podobno zmusić tych towarzystw do jakichś większych inwestycji. Inaczej ma się rzecz z kolejami tunetańskimi, które nie tak dawno budowane, mają wybornie urządzone wagony.

Okolica, którą przejeżdżamy aż do el Guerrah, górzysta i piękna, pełna zieleni łąk, lasów i obfitości wody. Z okien wagonu widzimy tu i ówdzie chodzące bociany. Od el Guerrah na południe przy-

biera kraj coraz więcej stepowy charakter. W oddali rysują się wprawdzie ostro kontury gór, naokoło jednak wielkie, nieuprawne, bezwodne stepy, pokryte, jak szczecią, szaro niebieskawą nędzną roślinnością traw stepowych. Po dwóch godzinach jazdy nie widać nigdzie naokoło ani drzewka, ani domu — tylko wielka pusta równina, urozmaicona co kilkadziesiąt kilometrów małymi gajami eukaliptusów koło stacyjek. Na stacyach widać ogromne, przygotowane do ładowania zapasy trawy stepowej, Halfa, z której wyrabiają maty, plecionki, papier, napychają nią także meble i materace.

Jednostajność krajobrazu przerywa nagle widok dwóch wielkich jezior, do których się zbliżamy. Ciemno-szafirowe wody, ujęte w białe, aż rażące oczy tą białością szerokie ramy. Co to? Śnieg! To być nie może. Powietrze tak ciepłe i to nie góry przecież. Pociąg staje na małej stacyjce tuż nad jeziorem. Śnieg tuż, tuż. Wybiegamy z wagonu. Schylam się i dotykam ręką. To nie śnieg! To osadzona na szerokich przestrzeniach brzegów sól. To słone stepowe jeziora, które, zaczynając wysychać z wiosną, zostawiają na brzegach masę soli.

Aż do następnej stacyi jedziemy wciąż wążką groblą między dwoma słonemi jeziorami Chott's, jak je nazywają Francuzi. Ostry, nieprzyjemny zapach jezior drażni nozdrza. Podobno okolice takich jezior, jakich pełno w całej stepowej Algeryi i na Saharze, należą do najniezdrowszych

i nawet gęste przy stacyach plantacye eukaliptusów nie chronią od złośliwej febry. Wody jezior ożywione gromadami ptactwa. Mnóstwo kaczek i całe wojska flamingów, krążących w powietrzu, lub szeregujących się na cichej fali.

Minąwszy jeziora w oddali ku południowi coraz wyraźniej widzimy szczyty gór. To pasmo Aures z widnym już najwyższym szczytem: Djebel Scheliha 2400 metrów wysokości. Góry coraz bliżej, więcej też zieloności naokoło. Zbliżamy się do miasta Batna. Właściwie jest to obóz warowny przez Francuzów dla trzymania na wodzy rozmaitych dzikich plemion nomadów założony. Kilku turystów wysiada z rzeczami. Pewnie chcą zwiedzać Lambessę i Timgad, ruiny miasta rzymskiego i warownego obozu legii afrykańskich. Timgad z dobrze podobno zachowanemi ruinami świątyń, amfiteatrów i łaźni nazywają afrykańską Pompeją. Ale zamiast zwiedzać rzymskie ruiny, wolimy być dłużej w oazach Sahary.

Wjeżdżamy w coraz wyższe, dziksze, na stokach gęstemi zaroślami porośłe góry. Towarzysz nasz wyczytał właśnie w niemieckim przewodniku Mayera, że góry te to »Hauptquartier des Berberlöwen« i stoi przy oknie z nastawionym kodakiem, upatrując wśród gęstych zarośli lwa. Uspokajam go jednak przeczytaną z najświeższego przewodnika »Guides Joanne« wiadomością, że lwy w Algeryi już dawno całkiem wytępione, a i pantera do wielkich już należy rarytasów.

Przebywamy najwyższy punkt linii około 1200 metrów wysokości i w przyspieszonym tempie wśród zgrzytu hamulców jedziemy w zakręty na dół. Lasy i krzaki znów znikają. Po godzinie nikną też wszelkie ostatnie ślady zieloności. Naokoło jałowe, żadną nawet trawką nie porośnięte, szaro-czerwone skaliste góry. Jesteśmy na kamiennej, górzystej Saharze. Dzikie złomy kamienia, powietrze ciche i ciepłe, naokoło nagie zbocza gór. Naraz spostrzegamy na jednym ze stoków kamiennych wielką czarną plamę. Co to? Oczywiście ta plama czarna, to znajdujący się tam las. Lecz o dziwo! Plama zmienia swe kształty, wydłuża się, posuwa i niknie po chwili, by ukazać się na innym znów skalistym stoku. To nie las. Nigdy go tam nie było i być nie mogło. To mały biały obłoczek rzuca na oświetlone słońcem skały cień tak ostry i wyraźny, że aż czarny. I widząc to samo zjawisko, powtarzające się na coraz nowych skałach, nie mogę się jednak oprzeć złudzeniu i nadziwić tym silnym kontrastom świetlnym. Przecie to inny klimat i słońce inne. W naszej szerokości geograficznej taki biały, prawie przezroczysty obłoczek, mało co rzuca cienia. A tu, wszystkie kontury odrzynają się tak ostro i różnica między światłem a cieniem jest jak między dniem a czarną nocą.

Długo trwa rozpaczliwie pustynny i umarły krajobraz. Przejeżdżamy wiaduktami wyschłe łożyska kamienistych potoków, które chyba tylko w czasie zimowych deszczów na krótko zapełniają

się wodą. Wreszcie otwiera się znana i pamiętna z licznych ilustracyj i obrazków, czerwona brama skalna, mijamy kroczące poważnie karawany wielbłądów, pociąg wjeżdża w wąską gardziel skalną. Staje!

To pierwsza, najdalej na północ wysunięta oaza kamiennej Sahary El Kantara.

Na stacyi tłumy Arabów i murzynów. Pięć minut czasu. Wsiadamy na chwilę i przed nami w wąskiej gardzieli skalnej całe lasy, całe mnóstwo smukłych rzuconych pióropuszcami w błękit palma.

Pociąg mija rozciągające się po obu stronach bujne lasy palmowe. Poniżej szumi potok, za rozszerzającą się dalej bramą skalną widnieją malowniczo wśród lasów palmowych rozsiane wioski arabskie.

Po chwili jednak znikają palmy i płaskie gliniane domy i czerwone skały; wjeżdżamy na pustynną równinę. Nie całkiem jednak pustynną, bo na prawo zielenią się małe poletka jęczmienia, dalej zaś wśród szarej porosłej kępkami trawy równiny pasą się liczne stada wielbłądów. Jeszcze dwie małe stacyjki. Przejeżdżamy z łoskotem ponad wyschłe potoki i przez pasmo nagich skalistych pagórków, za którymi rozpościera się bezbrzeżna, równa, szaro żółta przestrzeń błękitniejąca na widnokręgu jak morze.

To równa, piaszczysta Sahara!

Na lewo wśród tej bezbrzeżnej płaszczyny wielki czarny pasek, z którego wyraźnie sterczą

odrzynające się ostro na widnokręgu pióropusze palm, minarety i płaskie dachy domów.

Las palmowy coraz większy, wyraźniejszy. Pociąg zwalnia. Otacza nas zieloność bujnej egzotycznej roślinności i biegnące za zwalniającym pociągiem tłumy murzynów. Jesteśmy w największej oazie Sahary, Biskrze!

Chroniąc się przed napastliwością murzynów, oddajemy się pod opiekę portyera hotelu. Posługacze biorą kufry. Niedaleko, idziemy więc piechotą. Trafiliśmy na hotel czysto niemiecki. Właściciel Niemiec Würtemberczyk, służba niemiecka, i goście oprócz nas i kilku Anglików sami Niemcy. Z pokoju widok na pustynię z jednej, a lasy palmowe z drugiej strony. Biegniemy na pocztę po oczekujące nas listy z kraju. Czytamy je przy obiedzie, przy którym zwraca uwagę pieczeń z gazeli. Mięso o wiele jaśniejsze i delikatniejsze niż nasza sarnina. Towarzystwo niemieckie z wyjątkiem dwóch wyfraczonych Anglików i ich dekolowanych, jasnokościstych pań.

Biskra, 9 marca.

Dziewięć dni jesteśmy już w Biskrze. Jutro mamy opuścić Saharę i jej cudne oazy. Na zwiedzenie całej grupy oaz noszących zbiorową nazwę Biskry, oraz dalszych oaz Tilatu i Sidi Okba, wystarczyło zupełnie trzy dni. Dłuższy jednak pobyt pozwolił na odbycie całego szeregu dalszych pieszych i jezdnych wycieczek w głąb Sahary, pozwolił przyjrzeć się dokładniej barwnemu życiu oaz, poznać lepiej charakter tego szczególnego kraju i jego mieszkańców.

Perłą i królową Sahary nazywają Arabowie swoją Biskrę, Paryżem pustyni nazywają ją Francuzi. I słusznie! Jest perłą i królową ta najbogatsza z oaz algerskiej Sahary, nie tylko przez swe krocie tysięcy palm daktylowych, kokosów, bananów, nie tylko przez wielką obfitość duszy oaz — wody — ale przez to głównie, że tu jako w końcowym punkcie linii kolejowej koncentruje się cały handel Sahary, cały ruch karawanowy.

Ztąd wychodzą co dzień do innych o jeden, dwa dni, lub nawet tydzień drogi odległych oaz

setki objuczonych wielbłądów, niosąc to, co pustynia potrzebuje od cywilizacji i na odwrót tu schodzą się codziennie ogromne karawany aż gdzieś z wnętrza Sahary, przywożąc produkty surowe, daktyle, banany, skóry zwierząt, kości, do dalszego transportu koleją. Tu zbiegają się z daleka wszyscy przedsiębiorcy i kupcy arabscy, tu zbiegają się również szukać zarobku wszystkie arabskie, beduińskie i murzyńskie głodomory.

Jest i Paryżem Sahary ta Biskra, bo wśród lasów palmowych, arabskich i murzyńskich wiosek rozsiadła się tu i skupiła wykwintna, strojna cywilizacja Europy i kilkanaście z największym komfortem urządzonych hoteli i wspaniałe kasy-no, z teatrem, koncertami, salami do gry w karty i ruletki. Odbywają się też tu w sezonie i wyścigi konne i wielbłądzie, i konne fantazyje arabskie i polowania. — Jest także Paryżem pustyni z powodu wielkiej wesołości i niepohamowanej żądzy zabawy i użycia jej arabskich mieszkańców.

Jednym tylko nie jest i nie stanie się z pewnością ta oaza t. j. stacją klimatyczną i uzdrowiskiem, mimo wielkich w tym kierunku wkładów i reklamy. Nie sądzę bowiem, by częste wichry południowe i ciągły, nawet przy spokojnym powietrzu pył, przenikający przez gęste lasy palmowe aż do wnętrza oazy, mógł dobrze działać na chore płuca. By ciągła wesołość i hałaśliwość tutejszej arabsko-beduińskiej ludności, by ciągłe krzyki i bębnienie murzynów mogło dobrze dzia-

łać na chore nerwy. Chyba dla reumatyków mogłaby być Biskra wybornem miejscem kuracyjnym. Bo i suchość powietrza nadzwyczajna i gorące kąpiele siarczane o kwadrans drogi tramwajem za tanie pieniądze, zaś gorące słoneczne i piaskowe kąpiele całkiem za darmo...

Że dla oczów dłuższy tutaj pobyt jest niebezpieczny i z powodu rażącego światła i z powodu pyłu i much, to chyba nie ulega wątpliwości. — Między miejscową ludnością widzi się na każdym kroku znaczną ilość oślepych, a jeszcze znaczniejszy, ogromny wprost procent dorosłych i dzieci, opanowanych egipskiem zapaleniem oczów. Ropiejące, obsiadane przez muchy oczy, widzi się na każdym kroku.

Ale dla zdrowego europejskiego turysty parotygodniowy pobyt tutaj w miesiącach zimowych lub na wiosnę, posiadać musi nieopisany wprost urok. Ten na każdym kroku wpadający w oczy kontrast światła i cieniów w dosłownem znaczeniu i w przenośni, ten kontrast najrafinowańszej cywilizacji z najzupełnijszem barbarzyństwem, szalonej wprost zwrotnikowej wegetacji z otaczającą oazę bezbrzeżną, martwą i rozpaczliwie smutną pustynią, rozmaitość przytem i barwność typów ludzkich i strojów, ten biblijny wygląd ciągnących wolno przez pustynię, prowadzonych przez ludzi w długich białych szatach wielbłądów, wszystko to jest dla europejskiego turysty taką nowością i takim urokiem, że oderwać się i wyjechać stąd nie łatwo.

I w widoku pustyni pod Biskrą jest różnorodność. Schodzą się tu bowiem trzy najbardziej typowe odmiany Sahary.

Na północ ku El-Kantarze górzysta, kamienista Sahara z zamykającym widnokrąg pasmem bezpłodnych gór. Ku oazie Sidi Okba wielka przestrzeń gliniastej Sahary z rzadkimi tylko jak kretowiny kępami tarniaków i szarej trawy. Ku Touggurtowi zaś, za ostatnim lasem palmowym, rozpoczyna się najtypowsza forma pustyni, piaszczysta Sahara, przypominająca do złudzenia sfalowane, zastygłe w martwocie, błękitniejące na krańcach widnokregu morze.

Biskra, 9 marca.

O ile nie sprzykrzy się prędko i zawsze, pełen jest uroku widok pustyni, o tyle aż nazbyt prędko nużą swą jednostajnością spaceru po lasach palmowych. Z początku ta gęstwina smukłych, rozrzuconych wysoko w błękitnie pióropuszcami liści palm i ta podszewka młodego palmiego pokolenia, migdałów, bananów, pomarańcz, cytryn, a pod tym podwójnym, zielonym dachem jeszcze przeróżne jarzyny, zielona ruń trawy lub małe poletka jęczmienia — z początku ta cała egzotyczna bujność roślinności podoba się bardzo. Gdy jednak po kilku dniach wśród oazy o 500.000 palm ciągle tylko same jak dwie krople wody do siebie podobne palmy się widzi, jednostajność ta nużyć zaczyna i wnet dochodzi się do przekonania, że jednak nasze północne lasy mieszane, a choćby nawet czysto szpilkowe stokroć piękniejsze.

W naszych lasach więcej natury, a tu każda palma rowkiem regularnym ze stojącą wodą otoczona z widnymi wszędzie kanałami i śluzami

do dopuszczania wody, zbyt sztuczne ogrodowe robi wrażenie.

Warunkiem życia palmy jest obfitość wody, w której stać musi jej pień przez kilka godzin dnia. Każda oaza sięga też tak daleko, jak wody wystarczy. A pod tym względem stali się Francuzi dobrodziejami bezwodnej Sahary i tutejszej ludności. Niejeden inżynier francuski zyskał w ustach wdzięcznych Arabów najzaszczytniejsze tutaj miano »ojca wody«. Rządy francuskie mają pod tym względem zasługę. Powiercono setki studni artezyjskich, nawodniających coraz dalsze przestrzenie pustyni. Pomnożyły się i powiększyły kilkakrotnie istniejące dawniej oazy, zwiększyła się od lat 30 pięciokrotnie produkcja daktyli. Tam, gdzie naturalne źródło mogło parę tysięcy najwyżej palm wyżywić, tam rozciągają się obecnie lasy palm po 100 i 200 tysięcy sztuk. W kilkudziesięciu oazach algerskiej Sahary jest już obecnie 4 miliony przeszło palm daktylowych, oprócz mnóstwa kokosów, migdałów, fig, bananów, oraz pomarańczowych i cytrynowych drzew.

Za lat kilkadziesiąt cała z pewnością przestrzeń żyznej gliniastej Sahary od Biskry aż po za Sidi Okba, zmieni się w jedną olbrzymią, miliony palm mieszczącą oazę. Francuscy inżynierowie bowiem już teraz uważają za pewnik, że te setki strumyków, które wypłynąwszy z południowych stoków gór Aures przepadają zaraz i giną w pustyni, że te wszystkie strumienie nie giną wcale, lecz płyną dalej ukryte przed wysuszającym wpły-

wem palącego słońca głęboko pod ziemią i wypłukując po drodze wielkie pokłady soli, ukazują się znowu 200 kilometrów na południe od Biskry, tworząc w głębi Sahary olbrzymie słone jeziora. I jak nasi górnicy ropę naftową, tak tu wysila się inteligencja inżynierów, by w kilkusetmetrowej głębokości natrafić na strumień życiodajnej i złotodajnej wody. Tysiące nieraz tracą w bezowocnych wierceniach, setki tysięcy jednak zyskują nie rzadko, gdy natrafiwszy na podziemny strumień, przemienią kilkudziesięciohektarową przestrzeń pustyni na kwitnącą oazę.

Bo palma daktylowa nie tylko żywi ludność całą, ale ogromne masy daktyli idą na wywóz. Już w piątym roku wieku zaczyna palma rodzić i rodzi aż do lat 50-ciu, poczem się ją wycina na materyał drzewny. Owoce jednej palmy przynoszą przeciętnie 20 franków czystego dochodu. Ogród palmowy przestrzeni kilkunastu hektarów stanowi już milionowy majątek. Za wielkiego bogacza ma się już Arab, co ma 200 lub 300 palm. Przeważnie miewają po 40, 50 i 100 palm.

Daktyle stanowią główne, a u uboższych jedynne pożywienie. Jedzą je jako świeży, twardy owoc i uleżące, miękkie w tej formie, jak u nas w handlu się dostaje, i suszone i gotowane w mleku wielbłądziem i jako pamułę z mielonych suchych owoców. Z soku palm nadcinanych w górnych pędach robią kwaskowo słodkie, białawe wino daktylowe, ulubiony napój Arabów.

Z pni starych palm, mają materyał budowlany. Również jako materyał budowlany do lepianek arabskich i murzyńskich służą wiązane pękami na krzyż gałęzie i wymieszane z gliną łodygi i liście palm.

Słowem palma daktyłowa, jest tu podstawą życia, a że palma nie może żyć bez wody, więc woda jest tu požądaniem tysięcy, błogosławieństwem i bogactwem.

Drugim źródłem życia i ruchu jest tutaj wielbłąd, ten jedyny środek komunikacyi i handlu na pustyni. »Okręt pustyni« jak go nazywają Arabowie, jest istotnie okrętem tych niezmiernych przestrzeni.

Jedna z kilkuset wielbłądów karawana przynosi istotnie o setki i tysiące kilometrów, z jednego końca Sahary na drugi ładunki całego pociągu lub okrętu. Pięć do siedmiu cetnarów metrycznych dźwiga dorosły wielbłąd na swym grzbiecie. Dostarcza przytem mięsa, skór, mleka i miękkiej wełny na ubranie. A utrzymanie wielbłąda nic prawie nie kosztuje. Bez wody parę dni się obchodzi. Je zaś wszystko. Liście, gałęzie, trzaski, wióry, zeschniętą pustynną trawę, najulubieńszym zaś przysmakiem są dlań zarastające pustynię rzadkimi kępkami cierniste krzaki.

Arab chcąc sprawić wielki bal swemu wielbłądowi, wycina nożem kilka takich krzaków. Przypieka je następnie nad roznieconym ogniem, dopóki się kolce nie opalą. Takie zwęglone z wierzchu i dymiące jeszcze pęki tarniny zjada wielbłąd

z wielką łapczywością. W potężnych szczękach kruszy i miele grube na kilka centymetrów pieńki i uradowany ogromnie aż pomrukuje przy tem z rozkoszy.

Chodzimy często do spoczywających wielbłądzich karawan, obserwując te zwierzęta i obchodzenie się z nimi Arabów.

Spotkawszy raz Araba, który wśród wianka leżących wielbłądów karmił właśnie jęczmieniem swego osła, podczas gdy wielbłądy jadły świeżo opaloną tarninę, zrobiłem próbę. Wziąłem z rąk Araba misę z jęczmieniem i odsunawszy jednemu z wielbłądów niedojedzone tarniaki, podsunąłem jęczmień. Powąchał tylko i odrazu gniewnym rykiem i wyciągnięciem długiej szyi upomniał się o odebraną tarninę.

Wielbłąd nie potrzebuje przytem ani uzdy, ani wędzidła. Nie powodowany niczem, kładzie się, wstaje, idzie za głosem i na rozkaz swego pana. Dziwnie łagodne i mądre zwierzę. Gdy objuczony, kładzie się chętnie, nie lubi natomiast kłaść się, gdy nieobjuczony, bo wie z doświadczenia, że mu zaraz ciężarów na grzbiet nakładają. Przy juczaniu skarży się głośnym rykiem. Gdy mu za ciężko, wstać nie chce i Arab musi ujmować ciężaru, lub przynajmniej udawać, że ujmuje, dopóki wielbłąd nie uwierzy, że mu lżej i nie zacznie się podnosić.

Smieszne bardzo i wcale niebrzydkie są młode ssące wielbłądzięta. Zwłaszcza wełnę mają dziwne miękką, delikatną i aksamitne nozdrza.

Palma więc i wielbłąd, to główne źródła dochodu tutejszej ludności.

Jest jednak jedno plemię beduinów, które znalazło sobie jeszcze jedno, ogromnie wydatne źródło dochodów pieniężnych, w czem go jednak inne plemiona nie naśladowują.

To próżniacze plemię Uled Nail, mające swe szałaszy na południowych, niedalekich od Biskry stokach gór Aures, gdzie jest w zwyczaju żywienie się z zarobku młodych dziewcząt i oddawanie swych córek do oaz Sahary i miast północnej Algeryi na tancerki publiczne. Córki tego pokolenia widzieliśmy już raz tańczące w Konstantynie. W Biskrze roi się od nich poprostu. Urodą w europejskim guście one nie grzeszą, zgrabnością w tańcu również nie, zuchwalstwo tylko w zachowaniu się i wyrazista mimika, w tem są mistrzyniami. Byliśmy raz w nocy w kawiarni na wielkiem przedstawieniu tanecznem tych dziewcząt. Nie wytrwaliśmy jednak długo, wypędzeni po kwadransie piekielną muzyką i nieznośną tych almei natarczywością. Natomiast w innej kawiarni siedzieliśmy mimo muzyki czas dłuższy, przypatrując się tańcowi i mimice murzynów. Takich znakomitych kłownów nigdzie jeszcze nie widziałem.

Biskra, to nie jedna, ale cały szereg wiosek i osad. Centrum i stolicę stanowi Nowa Biskra, małe regularnie zbudowane miasteczko francuskie z długimi i prostymi ulicami, i kilkunastu wielkimi hotelami. Domy w maurytańskim stylu,

z podcieniami, pod którymi kryją się sklepy europejskie. Część miasta zajmuje otoczona murem z wieżami i strzelnicami dzielnica wojskowa. — W środku miasta piękny ogród, obok targowica arabska z wielkim placem targowym, rojnym i gwarnym w przedpołudniowej zwłaszcza porze. Tłumy Arabów, zajętych sprzedażą uleżałych i i suszonych daktyli, wina daktylowego, bananów, fig, cytryn, pomarańcz. Inni sprzedają kus-kus, inni znowu skóry z panter i hyen, pazury lamparcie, wypchane wielkie jaszczurki, rożki antylop i gazelli, skórzane tarcze, dzidy, starą broń, różańce z pachnącego drzewa i tym podobne mniej lub więcej ciekawe oryginalne przedmioty.

Ruch tu ogromny ludzi wszelkich ras i strojów. Arabowie, beduini rozmaitych plemion, murzyni, czasem i przybyli z daleka Tauregowie, istna ruchliwa i żywa wystawa etnograficzna.

Przez ten plac targowy i przyległą, zamkniętą pięknym pomnikiem kardynała Lavigerie ulicę, widzi się często przejeżdżających bogatych Arabów, na pięknych siwych koniach. Arabów, utrzymujących konie, jest tu kilku. Oglądaliśmy też stajnię bogatego szejka, byłego oficera francuskiego, który prócz kilku wspaniałych koni arabskich, miał także mały zwierzyniec z kilkunastu ślicznymi okazami wielkookich, zgrabnie podskakujących i kręcących zabawnie krótkimi ogonkami gazelli. Było tam także kilka strasznie wyglądających wielkich muflonów.

W nowej Biskrze mieszka jednak niewielu Arabów, sami najbogatsi tylko. Zbiega się tu wprawdzie licznie ludność arabska rano na targ, wieczór zaś na zabawę do licznych kawiarni. Mieszkają jednak w okolicznych ukrytych wśród lasów palmowych osadach, noszących zbiorową nazwę starej Biskry.

Osady Bab el Darb, Ras el Gueria, Sidi Barkot i kilka jeszcze innych, których nazw nie pamiętam, zwiedzaliśmy niejednokrotnie, odwiedzając moszee, domy i mieszkania arabskie i przypatrując się tym osadom z góry z wyniosłych minaretów.

Domy arabskie tych wiosek, to czworoboki lepione z gliny i liści palmowych, lub murowane z nieforemnej jak bochenki chleba w słońcu suszonej cegły glinianej. Zewnątrz wyglądają, jak żółto-szare płaskie pudełka. Okien ani otworów nie ma z zewnątrz żadnych, oprócz jednych drzwi, wiodących do dziedzińca, na który wychodzą okna i drzwi mieszkań. Dachy płaskie, jak stół, a na każdym dachu wielki biały pies. Zabawny widok tych setek psów ujadających wściekle ze wszystkich dachów na dół, na przechodzących turystów. Cały dzień siedzą te psy na dachach, skąd zejść nie mogą, aż wieczór; gdy zamkną jedyne zewnętrzne drzwi, przystawiają im schodki by zeszyły na wewnętrzny dziedziniec.

Zabawne było, gdy wyszedłszy na minaret moszei Kurach przywitani zostaliśmy zbiorowem ze

wszystkich dachów ujadaniem podnoszących ku nam swe mordy i skaczących w górę psów. Złe są widać te kelbe, jak je Arabowie nazywają, na szczęście jednak siedzą ciągle na dachach. Za to koty chodzą swobodnie po uliczkach, łaskawe i przyjazne. Kota nazywają po arabsku gad, a woła się na niego pieszczotliwie »mszy-mszy».

Odwiedzaliśmy również osobno położoną wioskę murzyńską z nędznymi niskimi lepiankami i niemiętami odorami.

Jedną z największych wspaniałości Biskry jest graniczący bezpośrednio z pustynią kilkunasto hektarowy ogród hrabiego Landon de Longeville. Bogaty ten człowiek i zamiłowany botanik nabył tu przed 20 laty kawałek pustyni, wywiercił studnię artezyjską, wybudował pałacyk maurytański i kilka przepięknych kiosków, zasadził wielką przestrzeń ogrodu setkami gatunków drzew, przeróżnych palm, yuk, dracen, drzew chinowych, gumowych, posprowadzanych z całego świata. Jakie tylko drzewo, jaką tylko roślinę wydaje strefa zwrotnikowa całego świata w Afryce, Azji, Ameryce i Australii, wszystko to troskliwie pielęgnowane i nawodnione rośnie i buja w wilgoci i słońcu ogrodu Landona. Ogród założony z prawdziwym artyzmem. Są tam partye poplątanej lianami bujnej roślinności, gęstwiny bezładne, jak dziewicze równikowe lasy. Są też niespodziane przerwy i dalekie prawdziwie afrykańskie widoki to na piaski pustyni, to na sterczące z dalekich grup palm minarety.

W czasie dziewięciodniowego w Biskrze pobytu odbywaliśmy pieszo lub też zaprzężonym parą mułów tarantasem bliższe i dalsze wycieczki. Z dalszych wycieczek najciekawszymi były południowa wycieczka w niedalekie pustynne góry Aures, oraz całodzienna wycieczka do odległej o trzy godziny drogi kołowej przez Saharę oazy Sidi Okba.

W pierwszej z tych wycieczek, dojechawszy tarantasem do stóp sławnego swym rozległym na pustynię widokiem Col de Sfa, z którego jednak mimo zachwyków naszego arabskiego przewodnika Mabruka ben Messaoud, przeraźliwie smutny rozciągał się widok, zapuściliśmy się potem z wielką szkoda naszego obuwia i nóg w kamieniste wąwozy górskie, dźwigając na plecach ciężkie, wypożyczone w hotelu sztucce, gdyż przewodnik Mabruk obiecywał pewne spotkanie się z muflonami.

Po półtoragodzinnem jednak kołowaniu i częstym przewracaniu się na śliskiej popielatej trawie, zrezygnowaliśmy z przyjemności strzelania do muflonów, których nie było i oddawszy sztucce Mabrukowi, wydrapaliśmy się na jeden ze skalistych szczytów, skąd mogliśmy do woli podziwiać ten dziwny, pustynny świat górski tak do żadnych innych, nawet najdzikszych przepaści Karstu niepodobny.

Lepiej daleko powiodła się nam następnej nocy podjęta wycieczka myśliwska na gazelle. Zbudzeni o drugiej po północy, jechaliśmy długo

drogą do Touggurtu, a potem, zboczyliśmy z drogi przez piaski daleko w głąb pustyni aż zamajaczyła przed nami w ciemności samotna grupa kilkunastu palm. Wysiadamy, furman odjeżdża w bok i Mabruk sadza nas twarzą do wiatru na składanych stołeczkach za pniami palm. Przed nami ma być jedyne na kilkanaście kilometrów naokoło poisko, jak się później przekonałiśmy, maleńkie źródło i kałuża.

Siedzimy tak może godzinę, dzwoniąc zębami w dotkliwym nocnym chłodzie. Wreszcie zaczyna szarzeć, z cieniów występują coraz wyraźniej pnie palm i jakieś niskie obok zarośla z przebłyskującym małym zwierciadełkiem wody.

Wiatr zupełnie ustał. Cisza, »aż w uszach dzwoni.« Wreszcie dolatują od pustyni jakieś szmery. Spostrzegam zbliżające się ostrożnie w krótkich podskokach gazelle. Jest ich pięć. Są już może nie dalej jak 200 kroków. Naraz stają i pierzchają w popłochu. — Po kilku minutach jednak wracają w liczniejszym towarzystwie kilkunastu sztuk. Stają i znów idą ku wodzie. Dwie są już nad wodą o jakie 80 kroków. Mierzę do największej. Naraz pada strzał mego towarzysza. Strzelam i ja i jeszcze towarzysz, a po chwili daje pan P. jeszcze jeden »Gnadenschuss« do tarzającej się z potrząskanemi badyłami gazelli.

Z trzema gazellami wracamy o wschodzie słońca do Biskry. Oddajemy je do kuchni hotelowej, zastrzegając sobie rożki na pamiątkę.

Pełną orientalnego afrykańskiego uroku była całodniowa nasza wycieczka do odległej o trzy godziny drogi oazy Sidi Okba.

Po godzinnej może jeździe przez Saharę, urozmaiconą tylko w jednym miejscu szeregiem otoczonych częstokołem i pilnowanych przez żołnierzy namiotów, dla których właśnie wieszono na wielbłądach ładunek wody do picia, (te namioty to kolonie karne skazanych żołnierzy), widzimy nagle daleko na widnokręgu jakby świetlany pasek wody jeziora, a nad nim wyraźne pióropusze licznych palm, domy i minarety.

— Sidi Okba? — pytam Mabruka. Nie, to »le mirage« fata morgana, odpowiada. Do Sidi Okba jeszcze daleko.

Istotnie, to fata morgana. Na dokładnej mapie sztabu jeneralnego nie ma w tym kierunku żadnej oazy. Ów pasek świetlisty okazał się przy dokładniejszym wpatrzeniu paskiem powietrza i w powietrzu dopiero wisiał najdokładniej odrzynający się na widnokręgu obraz oazy.

Długo jedziemy wpatrzeni w te złudne obrazy pustyni, dopóki przed nami nie zaczął się ukazywać czarny pas lasów palmowych i minarety oazy Sidi Okba.

W miarę jak zbliżamy się do oazy, pustynia zaczęła się ożywiać. Więcej jakoś wegetacji. Oprócz kępek tarniaków, coraz częstsze kępki szarej ostrej trawy, a dalej pasące się swobodnie rozpierchłe po pustyni wielbłądy.

Fotografujemy ten obraz, na fotografii jednak wielbłądy wyglądają jak małe czarne, choć bardzo wyraźne pchełki.

Przybywszy do Sidi Okba, zajeżdżamy przed ogród szejka, gdzie na propozycję Mabruka mamy zjeść w cieniu palm przywiezione ze sobą z hotelu śniadanie. Arabom naszym, t. j. Mabrukowi i woźnicy dajemy na strawne z poleceniem, by przybyli za godzinę. Przynoszą nam stolik i zastawę stołową, od roku pewnie niemytą. Myjemy najpierw to wszystko w braku wody przywiezionem ze sobą winem. Śniadanie niespokojne z powodu kilku napastujących nas Arabów, z których jeden chce nam gwałtem sprzedać kły pantery, inny rożki antylop, makaty itp. Na szczęście zjawia się Mabruk i oswobadza nas od tej arabskiej napastliwości.

Zapłaciwszy dość słono za użycie stołu i brudnych talerzy i szklanek, idziemy zwiedzać oazę. Wielki, otoczony ślepyimi murami glinianych domów plac targowy, natłoczony setkami Arabów, wielbłądów i osłów. Mabruk prowadzi nas do arabskiej medresy, t. j. szkoły. Nizka, obszerna sala, wypełniona szczelnie dziećmi, małymi Arabczukami, siedzącymi gęsto na ziemi z tabliczkami w rękach i powtarzającymi wrzaskliwie jakieś arabskie wyrazy. Jeden wielki pisk i wrzask, zupełnie jak w hederze żydowskim. W trzech zaś rogach sali siedzi na dywanikach trzech starych Arabów, nauczycieli, z długimi bambusami w ręku. Całym ich zajęciem jest walenie po łebkach

chłopców, tak daleko jak koniec kija sięgnie. —
Szczególniejsza doprawdy nauka!

Ze szkoły idziemy do moszei. Piątek, święto Arabów, więc tłumy wchodzą do wnętrza, zostawiając na progu pantofle i pocierając ręką i czołem wmurowaną w ścianie koło drzwi czarną, gładką kulę kamienną.

W ścisku nie ma nam kto dać papuci na trzewiki. Nie chcemy więc wchodzić. Lecz Mabruk utrzymuje, że tu na to nie uważają. Wchodzimy, lecz jeszcze prędeż cofamy się, widząc, jak jakiś stary Arab wyrzuca za drzwi Mabruka, wskazując i nam uprzejmym, ale stanowczym ruchem ręki wyjście. Oczywiście na myśl nam nawet nie przyszło obrażać religijne uczucia Arabów. Zwymyślaliśmy też ostro Mabruka, że nas do tego doprowadził, i rozśmieszeni jego nieszczęśliwą miną, przechodzimy na południowy koniec oazy, by się przypatrzeć, jak tam wygląda pustynia.

Lecz wilgoć nawodnień sięga jednak widocznie jeszcze po za palmowe gaje, bo minąwszy je, widzimy przed sobą duże zielone pola jęczmienia, a za nimi dopiero piaski pustyni.

Czas jednak wracać do Biskry.

O zmroku już dojeżdżamy tam z powrotem.

Mabruk namawiał nas usilnie na wycieczkę do dalekiej oazy Touggourt. Dowiedziawszy się jednak, że wycieczka ta wymaga sześciu dni czasu, dwa całe dni bowiem trzeba jechać karawaną lub pocztą do odległego 250 kilometrów Touggourtu,

i po drodze w jakimś karawanseraju nocować i zapasy żywności ze sobą wozić — nie daliśmy się namówić, bo ostatecznie po uciążliwej podróży przez Saharę, zobaczylibyśmy tylko taką samą jak Sidi Okba lub stara Biskra oazę.

Zrobiliśmy jednak nazajutrz parogodzinną w stronę Touggourtu wycieczkę, dla przypatrzenia się raz jeszcze piaszczystej Saharze, *les dunnes* jak ją nazywają Francuzi.



Setif, 13 marca.

Opuszczając Biskrę, postanowiliśmy zatrzymać się po drodze dzień jeden w El Kantarze, tej tak odmiennej i oryginalnej, bo w górach położonej oazie. Ponieważ to z Biskry godzina tylko jazdy koleją, więc bierzemy ze sobą Mabruka, który właśnie z El Kantary jest rodem i tamże 50 własnych palm posiada.

I nie żałowaliśmy dnia tu spędzonego! Śliczną jest ta góraska oaza, pod względem malowniczości położenia stekroć od Biskry i wszystkich innych, w równej pustyni położonych oaz piękniejsza! Palm tu także lasy niemałe, około 100 tysięcy sztuk, i czerwone skały urwistych wysokich gór na około i czepiające się skał, jak orle gniazda wioski arabskie, i rzeczka góraska szumiąca w dolinie, która wody tym wszystkim plantacyom palm dostarcza.

Zwiedzamy wsie okoliczne, jedną od drugiej piękniejszą, i osobną grupę palm i domów, dziko malowniczą oazę »Tilatu«. Odwiedzamy też górę ąlabastrową i drapiemy się trochę po skałach,

w nadziei zobaczenia muflonów, których tu ma być dużo. Nie widzieliśmy jednak ani jednego muflona. Za to fotografujemy, ukryci za skałą, kobiety arabskie, pluskające się w potoku.

Zeszedłszy do wioski »czerwonej«, oddaliśmy wizytę matce Mabruka starej Arabce, tak brzydkiej, że można było zdziczeć na jej widok. Taka nie powinna łamać przepisów koranu i odkrywać twarzy przy mężczyznach.

Wracając o zmroku do jedyne go w El Kantarze europejskiego hotelu Bertrand, spotykamy wracające z polowania towarzystwo: czterech Niemców i jedną młodą i ładną, w krótkim myśliwskim kostymie Niemeczkę. Towarzyszy im pięciu Arabów. Dwóch z nich niesie wielkiego muflona.

Jeden z Arabów, piękny jak królewicz z bajki. Niemcy żegnają bardzo serdecznie, uściskami rąk Arabów. Jeszcze czulej, z minką zalotną, żegna pięknego Araba Niemka.

Przypomniały mi się żywo nieraz widziane u mizgi emancypowanych warszawskich panien do pięknych przewodników tatrzańskich. Takie same czule oczy z jednej, a dość poufale lekceważące zachowanie się z drugiej strony.

Żegnamy i my też naszego Mabruka, który polecając się naszym względom i obiecując przysłać nam tanio na każde zamówienie świeżych twardych daktyli, siada do pociągu, odjeżdżającego do Biskry. My zaś po krótkiej jeszcze o zmroku przechadzce wracamy do hotelu, gdzie

zastajemy przy wieczornym obiedzie znowu niemieckie wyłącznie towarzystwo.

Rano wyruszamy w dalszą kolejową drogę. Do El Guerrach jedziemy tą samą linią. Znów liche śniadanie w Batnie, znów dwa słone jeziora i flamingi, aż w Guerrach przesiadamy się do pociągu, mającego nas zawieść w 8 godzinach do górskiego miasta Setif.

Kraj ciągle pusty, stepowy, kamienne szafasy beduinów, wielkie przestrzenie zarosłe halfą — i nic! Pod wieczór okolica ze stepowej przechodzi coraz więcej w górzystą. Jedziemy ciągle pod górę. Maszyna pracuje. O godzinie 9 wieczór stajemy w Setifie i wysiadamy wśród dojmującego zimna. Wsiadamy do omnibusu hotelu poleconego w przewodniku »Joanne«. Omnibus brudny i obdarty. Nie lepszy i hotel! Schody od lat pewnie nie myte. Obdarta służba kabylska wrzeszczy. Doprowadzają nas do drzwi wyznaczonych nam pokoi, ale kluczy od drzwi nie mogą znaleźć. Zostawiają nas na ciemnym korytarzu. Stoimy długo — nikt nie przychodzi! Zaczynamy wołać. Wreszcie zjawia się jakiś nieumyty kabyl z pękiem kluczy, i po długim dobieraniu otwiera wreszcie. Prosimy go, by na kominku zapalił, bo zimno i nie pachnie. Pokoje mamy więc, ale świecy ani śladu. Wreszcie przynoszą świece. Walą kłody mokrej dębiny na kominek! Nie chce się palić!

Przy świecy oglądamy łóżka! Toż to cały regiment nieumytych kabylów lub zasmolonych

murzynów musiał spać na tej pościeli. O dostaniu świeżej pościeli niema mowy, bo dużo gości w hotelu! Niema rady, będziemy spać w ubraniu. I okrywszy brudne poduszki tuzinami własnych chustek do nosa, kładziemy się przykrywając paltotami i czem tylko było można!

Rano budzi nas zimno! Coś jak w Taorminie! Ubierać się na szczęście nie potrzebujemy. Wyglądam przez okno. Śnieg pada! Prawda, że Setif leży wysoko 1300 metrów ponad poziom morza.

Mieliśmy stąd jechać końmi w góry, do Kerrata, potem popod najwyższy szczyt Atlasu do Tizuzu i stamtąd dopiero koleją do Algeru. Wobec jednak śnieżycy musimy z tego zrezygnować. O 12 w południe idzie pospieszny pociąg do Algeru. Jedziemy tam wprost.

Przedtem jednak zwiedzamy trochę miasto, lecz wnet przekonujemy się, że szkoda czasu i nóg. Setif, to osada czysto wojskowa, założona przez Francuzów dla trzymania na wodzy kraju kabyłów. Małe europejskie z kabyłskim jednak brudem miasto.

Piękny nowy meczet. Kilka okazałych gmachów rządowych. Arabów ani śladu, tylko żołnierze francuscy i kabyle na ulicach. Błoto ze stającego śniegu ogromne! Na kolej!

Algier, 21 marca.

Wlicznem bardzo towarzystwie i w wielkiej ciasnocie odbywamy dalszą podróż do Algeru. Na każdej stacyi tłumy. Przyczepiają nowe wagony. Co to takiego? Jeden z pasażerów objaśnia nas, że jutro rozpoczyna się kilkodniowy zjazd członków algerskiego Towarzystwa rolniczego, że więc wszyscy koloniści jadą do Algeru. Pojechało ich już dużo wczoraj, a w nocy mają iść jeszcze dwa nadzwyczajne pociągi.

Francuz opowiada szczegóły o działalności Towarzystwa rolniczego, które ma kilkadziesiąt tysięcy członków, w syndykacie handlowym kilkuset milionowe obroty i wielkie magazyny portowe w Algerze. Osobne Towarzystwo rolnicze istnieje dla prowincyi Konstantyna, osobne dla prowincyi Oranu. Syndykaty tamtych towarzystw mają swe magazyny w innych miastach portowych. Najbogatszem i najruchliwszem jest jednak algierskie towarzystwo.

Te towarzystwa rolnicze, popierane gorliwie przez rząd milionowemi subwencyami na studnie

artezyjkie i nawodnienia, przyczyniły się niesłychanie do rozwoju produkcji rolniczej, zwłaszcza produkcji wina. Wywóz wina wzrósł od lat 20 pięćdziesięciokrotnie.

Francuz odczytuje mi z jakiegoś sprawozdania ciekawe cyfry, które sobie notuję:

Produkcya wina w r. 1904 wynosiła 7 mil. hktl.		
Stan bydła rogatego w Algeryi	1,200.000 sztuk	
» koni	» 260.000	»
» mułów	» 200.000	»
» owiec	» 7,000.000	»
» kóz	» 5,000.000	»
» wielbłądów	» 450.000	»

Opowiada dalej, że ziemia w całej północnej Algeryi wyborna, ale, że z wyjątkiem okolic wysokich gór, tj. wielkiej i małej Kabylii cierpi wszędzie rolnictwo na brak wody. Z wyjątkiem grudnia i stycznia należy deszcz do wielkich rzadkości. Dzięki jednak milionowym subwencyjom rządu i własnym środkom Towarzystw rolniczych udało się nawodnić wielkie przestrzenie i powstały zwłaszcza w prowincyi algerskiej kwitnące i bogate kolonie, złożone przeważnie z Alzatczyków.

I rzeczywiście okolica tu niczem Afryki nie przypomina. Kraj dobrze uprawny, wszędzie winnice, gęste kolonie zabudowane domami o szpiczastych, czerwoną dachówką krytych dachach.

Na stacyach gdzie dłuższy postój, opróżniają się wagony. Wszystko wylega przed pociąg i ko-

loniści zapoznają się z sobą. Przed naszym wagonem odbywa się właśnie wzajemna prezentacja. Bou, Gros, Fischer — odbijają się nam o uszy nazwiska. Oryginalnie poubierani niektórzy, przynajmniej jak na podróż. Pan Bou w cylindrze i w ciasnym, z zakrótкими rękawami angielzcie, inny znów w klaku na głowie.

Ale w miarę jak coraz dalej jedziemy, coraz piękniejsza okolica odwraca naszą uwagę od typów kolonistów. Na północy rysuje się coraz wyraźniej błyszczące białością śniegów najpotężniejsze pasmo Atlasu, Dżurdżura.

Jedziemy wprost ku góróm. Coraz więcej kabylów na stacyach. Od stacy Beni Mansour, skąd widać jak na dłoni najwyższy szczyt tego pasma Lela Khadidja rozpoczynają się na stokach rozległe, gęsto zabudowane wsie kabylskie. Jesteśmy w wielkiej Kabylii. Ztąd, z Beni Mansour kilkanaście tylko kilometrów na szczyt Lela Khadidja. Ztąd też robią zwykle turyści wycieczkę na ten szczyt. Teraz jednak nie pora na to, gdy nietylko ten, ale inne niższe szczyty Dżurdżury całkiem białe od śniegu.

Odtąd jedziemy ciągle doliną rzeczki Qued Sahel mając po prawej ręce zmieniające się ciągle, wspaniałe i groźne widoki górskie. Lela Khadidja widna ciągle jak biała pozębiona piramida na tle nieba. Dopiero koło stacy Bouira kryje się za bliższe skaliste grzbiety górskie.

Wjeżdżamy w pagórkowatą, piękną, lesistą okolicę. Lasy dębów korkowych i cedrów. Kilka

tuneli i znów wyższe skaliste góry. Wjeżdżamy w jedną z najcudowniejszych dolin górskich, dolinę rzeki Isser — Gorges de Palestro, jak nazywają tę romantyczną dolinę Francuzi. — Niestety, częste tunele zasłaniają co chwila widok.

Tymczasem ściemniać się zaczyna; o zmroku już dojeżdżamy do stacyi Menerville. Potem szereg małych stacyjek, potem nieprzerwany szereg świateł i wielka łuna w oddali, zdradzająca bliskość wielkiego miasta i rzędy świateł nad brzegiem zatoki morskiej.

Wreszcie Alger!

Algier jest w całym tego słowa znaczeniu wspaniałem, bogatym, eleganckim, ale też czysto już prawie europejskim miastem. Jest wprawdzie i tu około 30.000 ludności arabskiej, zamieszkałej w osobnej, pełnej krętych, wązkich uliczek dzielnicy. Jest też kilkanaście tysięcy afrykańskich żydów i nie mniej z pewnością kabylskich i muryńskich robotników. Liczbą ludności przeważa jednak Europa, więc z wyjątkiem wysoko położonej arabskiej dzielnicy jest Algier wykwiśniętym miastem francuskim. Jest to mały Paryż, lub raczej mała Marsylia lub Bordeaux Afryki. Lecz góruje nad tamtymi miastami pięknnością położenia i słodczą klimatu.

Śliczna, górami otoczona zatoka, na stokach tych gór wśród zieleni zwrotnikowej wegetacyi, licznymi przedmieściami i tysiącami will, pałaców i hoteli rozrzucone wielkie miasto.

Widoki wspaniałe na góry, morze, a ku wschodowi na śnieżyste pasmo Dżurdzury, co wobec egzotycznej roślinności ogrodów i skwerów niezwykle pięknym jest kontrastem!

Czem są dla tej części Afryki rządy francuskie, francuska praca i zapobiegliwość, to tu w Algierze i w okolicy miasta na 100 kilometrów naokoło najlepiej można ocenić. Cała sieć kolei parowych i elektrycznych, wyborne drogi bite, takie, jakich my w naszym deszczowym klimacie nigdy mieć nie możemy, drogi, pokrywające kraj siecią tak gęstą, że nie ma tak zapadłej miejscowości, by automobilem z szybkością 60 kilometrów na godzinę nie można do niej dojechać, olbrzymie, setki tysięcy morgów zajmujące winnice, niemniej wielkie plantacje tytoniu, pomarańcz, cytryn, drzew oliwnych i morw. Śliczne i rozległe lasy dębów korkowych, cedrów, cyprysów i arankaryi, cała sieć kanałów, doprowadzających wodę z licznych studni artezyjskich i nawadniających ogromne przestrzenie, wszystko to daje obraz kraju tak cywilizowanego, w tak wysokiej będącego kulturze, że nie ustępuje pod tym względem żadnemu z krajów europejskich.

A czem jest obok umiejętnie robionych wkładów pieniężnych, obok pracy i zapobiegliwości także i gust francuski, to widzi się na każdym kroku w mieście Algierze.

Szerokie, wspaniałe bulwary i place otoczone rzędami domów z kolumnadami, jak paryska Rue Rivoli. Zamiast platanów, palmy i liczne skwery

cienistych bambusowych alei z bananowem podszyciem, a przytem we wszystkich monumentalnych budowlach umiejętnie i gustownie zastosowany styl maurytański, przez co miasto zachowuje pewien odrębny swój charakter.

Malowniczo porozrzucane wśród zieleni na stokach gór przedmieścia, jak Mustapha Superiere, Bab el Ouet, St. Eugene i Belcourt. Pysznie poprowadzone wśród zieleni lasów i najpiękniejszych widoków staraniem *comités d'hivernage* drogi spacerowe, jezdne i ścieżki dla pieszych, słowem wszystko, by Algier i jego najbliższe okolice uczynić najmiłszem chyba w świecie dla Europejczyków zimowiskiem.

A i pod względem ekonomicznej praktyczności umiano doskonale użyteczne z pięknem połączyć.

Olbrzymie magazyny portowe, których znaczną część zajmuje syndykat Tow. rolniczego, nie są, jak gdzieindziej, zeszpeceniem, lecz przeciwnie jedną z prawdziwych ozdób miasta. Przepiękną również ozdobą jest położony nieco za miastem, nad samem morzem, wielki ogród doświadczalny dla rolnictwa, leśnictwa i ogrodnictwa, *Jardin d'essai*.

Nie mogą być wprawdzie pięknymi kwadratowe pola doświadczalne z wszelkiego rodzaju roślinami. Ale te kwadraty otoczone są licznymi wspaniałemi alejami platanów, olbrzymich magnolij, yuk fikusów, bambusów, a tam, gdzie zbytne zacienienie byłoby szkodliwem, alejami palm kokosowych, daktylowych, i przeróżnych innych

gatunków. Zwłaszcza aleja bambusowa z kilku rzędami wysokich, strzelistych, zacierających doskonale swemi liśćmi bambusów, wygląda jak wysoko sklepiony ciemny tunel lub korytarz gotycki. A przytem dla ozdoby tu i ówdzie jakaś grupa palm, to znów jezioro czy staw z całym lasem roślin wodnych i papirusów, tak, że ogród ten, mimo regularnego przeważnie podziału na kwadraty, jest bardzo pięknym.

Nie mam zamiaru opisywać szerzej osobliwości Algieru. Dawne pałace Deja algerskiego, przemieniane częścią na koszary, częścią na rezydencje gubernatora, arcybiskupa i innych dostojników, lecz z wyjątkiem większych rozmiarów nie różnią się niczem od takich samych w okolicy Tunisu pałaców. W tutejszej Kasbie, przemienionej na koszary, pokazywano nam z satysfakcją t. zw. pawilon wachlarzowy. W tym to pawilonie zaszedł przed siedmioma dziesiątkami lat przeszło historyczny i brzemienny wielkimi następstwami fakt znieważenia posła francuskiego przez panującego Deja.

Moszei jest kilka, wspaniałych istotnie, o wiele piękniejszych, niż w Konstantynie. Tutejsza dzielnica arabska kubek w kubek do arabskiej części miasta w Konstantynie podobna. Takie same tu kawiarnie i przedstawienia tańczących Uled Nailerów.

Ma jednak i swoje specyalności ta dzielnica. Daje tu przedstawienia jakaś sekta marokańskich marabutów, popisujących się za pieniądze zjada-

niem żywych węzów, gryzieniem i połykaniem żywych skorpionów, pajaków, wielkich stonóg i tym podobnymi obrzydliwościami. Nie mogliśmy jednak wytrwać do końca tego pięknego przedstawienia, obawiając się, że to może więcej nam zepsuć apetyt, jak tym żarłocznym marokańczykom.

Widzieliśmy także odbywającą się w piątek daleko za miastem na skalistym morskiem wybrzeżu murzyńską uroczystość religijną składania ofiar krwawych. Jakiś kapłan murzyński nadrzyna gardła baranów i kogutów, namazując krwią ciepłą czoła cisnących się do niego, składających te ofiary murzynek. Nieszczęśliwe niedorznięte zwierzęta tułają się chwiejnie czas jakiś, znacząc krwią kamienie nadmorskie i konają, poczem zabierają je na kuchnię czekające już na to kobiety z uboższych warstw hiszpańskiej i francuskiej ludności.

Ślicznie położonym jest cmentarz arabski, pełny białych pomników, kolumn z marmurowymi turbanami, kępami eukaliptusów zarosły. Zwiedzaliśmy cmentarz w piątek przed południem to jest w porze, gdy kobiety arabskie przychodzą odwiedzać groby swych blizkich. Według maho-metańskich przepisów nie śmie w tym czasie przestąpić bramy cmentarza noga mężczyzny. Zakaz ten oczywiście nie obowiązuje Europejczyków. Mimo to my dwaj byliśmy jedynymi mężczyznami, którzy o tej porze wtargnęli między tłumy Arabek. Wiele z nich siedziało na marmurowych płytach grobowców z odkrytymi twarzami. Do-

piero na nasz widok zasłaniały się na gwałt jaszczakami. Nieprzyjemnie nam się zrobiło widząc popłoch, jaki wywołujemy w tłumie białych niewiast i cofnęliśmy się co prędzej z cmentarza.

Z nowych europejskich budynków Algieru, odznaczają się okazałością kościoły. Zwłaszcza katedra, zbudowana w stylu maurytańskim, z dwoma jak minarety wieżami, jest i olbrzymią i bardzo piękną. Pięknością zaś położenia odznacza się wzniesiony na wysokim pagórku nad przedmieściem st. Eugène kościół Notre Dame D'Afrique. Również w maurytańskim stylu, lecz wewnątrz i wszystkie ściany, nawet sklepienia przykryte od góry do dołu przeróżnemi wotami.

W ołtarzu wielkim posąg cudownej Bogarodzicy z hebanową twarzą, obwieszony również wotami ze złota i drogich kamieni. Bo ludność francuska w Afryce, jak to na nabożeństwach i w Tunisie i tutaj mieliśmy sposobność stwierdzić, odznacza się wielką pobożnością i przywiązaniem do Kościoła.

Algier, 21 marca.

W czasie ósmiodniowego w Algierze pobytu poznaliśmy nie tylko miasto i jego otoczenie, ale i dalszą jego okolicę, wszystkie niemal miasta i miasteczka w okręgu kilkudziesięciu kilometrów naokoło. Dzięki bowiem automobilom, które tu tanio stosunkowo się wynajmuje, można szybko i bez umęczenia przebywać ogromne przestrzenie w przeciągu kilku godzin, zatrzymując się dowolnie długo tam, gdzie istotnie było warto. Koleją lub końmi potrzebowalibyśmy cztery razy tyle czasu na to wszystko, nie mówiąc już o niewygodzie jazdy kolejowej i niemiłej konieczności trzymania się rozkładu jazdy pociągów.

Najpiękniejszą z takich wycieczek jest całodniowa wycieczka do miasta Blidah i do wspólniejszej górskiej doliny Gorges de la Chiffa.

Wyjechaliśmy o godz. 8. Przejechawszy miasto, skręciliśmy poza Jardin d'Essai, na leśną wyborną drogę idącą w zakosy pod górę przez malowniczą dolinę Ravin de la femme sauvage. Bystro miejscami pod górę jedziemy wolno nad

małym szumiącym potoczkiem, wśród kwiecia i woni. Dopiero od miasteczka Birmandrais, wjechawszy na równinę, na prostą jak strzełił drogę, ruszamy jak wiatr z szybkością 55 sekund kilometr, aż do arabskiego miasteczka Boufarik. Cała kilkunastokilometrowa przestrzeń między Birmandrais a Boufarik, to winnice i winnice, obsadzone morwami i gdzieś tam małe pomarańczowe plantacje.

W Boufarik trafiamy na ożywiony targ. Kilka tysięcy Arabów na wielkim placu, ciekawe targowe sceny, które fotografujemy, zatrzymały nas przeszło pół godziny. Potem jeszcze równią chwilkę, 10 kilometrów do miasteczka Beni Mered z wielką obeliskową kolumną na cześć poległego tu w roku 71 w walce z 300 Arabami sierżanta francuskiego i jego 20 bohaterskich żołnierzy. Za tem miasteczkiem rozpoczyna się już śliczna górzysta, zasiana całymi lasami pomarańcz i cytryn okolica — i te gaje ciągną się już nieprzerwanie aż do 30-tysięcznego miasta Bli-dah, świętego miasta Arabów.

Zwiedzamy piechotą arabskie miasto i będący celem licznych pielgrzymek Arabów grób marabuta z białą kopułą, w pięknym położony ogrodzie. Chcieliśmy fotografować karmiącą dziecko na ławce kamiennej przed grobowcem olbrzymią z charakterystyczną twarzą murzynkę. Spozstrzegła się jednak i nawymyślawszy po arabsku — uciekła. Na fotografii widać ją tylko z tyłu.

Zwiedzamy jeszcze stadninę koni arabskich, utrzymywanych tu z powodu najlepszych w kraju pastwisk przez rząd francuski. W kancelaryi wojskowej każą nam wpisać swe nazwiska do księgi i dają jednego z podoficerów, by nam konie pokazał. Widzieliśmy około 300 koni, siwych przeważnie, niewielkich. Żałowałem bardzo, że się na koniach nie znam, bo byłbym może nie okazywał zniecierpliwienia, gdy nasz towarzysz pan P., zamiłowany hodowca koni, mimo powtarzanych kilkakrotnie wyrazów: »spodziewałem się czegoś lepszego«, ani rusz nie chciał skończyć przeglądu. Oglądamy także ogiery w stajni. Mało ich już o tej porze, bo już po stacyach porosyłane. — Przeprowadzano nam kilka na żądanie. Stajnie bardzo przewiewne. Na słupach kamiennych dość płaski dach. Tylko od jednej strony, gdzie żłoby, jest ściana z kamienia. Widno w takiej stajni i powietrze dobre. Widać, że w tym klimacie taka wystarczy; znać bowiem, że nie dla oszczędności taką budowano, bo przegrody dla każdego konia, muszle i wodociągi wskazują, iż nie żałowano pieniędzy.

Po śniadaniu siadamy znów do automobilu i jedziemy dalej na południe do Gorges de la Chiffa.

Kilka kilometrów drogi pod górę wśród pomarańczowych gajów i wjeżdżamy w górski wąwóz, na którego dnie głęboko pod nami szumi w licznych wodospadach rzeka, a po obu stronach wysokie, dziko poszarpane skały, zasilające rzekę całą masą maleńkich, jak niteczki, miejscami w pył

wodny i w parę się rozbijających i tęczkami świecących kaskad. Polecamy jechać jak najwolniej.

Miejscami wąwóz tak ciasny i skały tak prostopadłe, że tylko wąski pasek nieba nad głowami, jak w otchłani Rumlu w Konstantynie, potem znów rozszerza się naraz, pozwalając oku sięgnąć w głąb w fantastyczny kraj bujnej, poplątanej, czepiającej się stoków roślinności, sterczących nad tem nagich turni i huczących wodospadów. Od głównej doliny rozchodzą się miejscami w głąb gór mniejsze, bujnym lasem zarosłe dolinki, lub ciasne, prostopadłymi skałami otoczone wąwozy, które również szemrzące na dnie potoki sobie wyżłobiły.

Po godzinnej może wolnej jeździe tą wspinałą, pełną ciągłych niespodzianek doliną dojeżdżamy do ujścia bocznej, szerokiej, szalenie bujną gęstwinią zarosłej doliny, którą bystro z góry spada bogaty w wodę potok.

Na kraju mały domek. To oberża. Potok ten i dolina noszą nazwę Ruisseau des Singes, zarosła bowiem nad potokiem mają być ulubionem siedliskiem małp. Chcielibyśmy koniecznie zobaczyć dzikie małpy, swobodnie bujające po drzewach. Zsiadamy więc, bierzemy Araba z oberży, jako przewodnika i zaczynamy wdzierać się, miejscami przy pomocy rąk, po skałach i wśród zarosli w górę potoku.

Arab opowiada, że wczoraj byli tu także goście z Algieru automobilem i że widzieli całe stado kilkudziesięciu małp. Drapiemy się w pocie

czoła blisko godzinę, mijamy wielki wodospad, przedieramy się ze szkodą ubrań przez zarośla. Naraz Arab łapie mię za rękę, wskazując oczami w górę. Patrzymy — ale nie widać nic, tylko jakby świeżo poruszone gałęzie kilku drzew. — Kilka małp Makako przemkło po drzewach, jak błyskawica, lecz nie zdążyliśmy ich zobaczyć.

Zmęczeni rezygnujemy już z widoku małp i wracamy powoli na dół, rozkoszując się widokiem kulturowanego Bożą tylko ręką afrykańskiego lasu.

Wracamy do samochodu. Ale do końca doliny jeszcze daleko. Szybciej już teraz jedziemy. Dolina rozszerza się, jest już mniej dziką, nie przestając być prześliczną. Dojeżdżamy do miejsca, gdzie dolina staje się już na kilometr może szeroką i zawracamy jadąc teraz szybko z powrotem do Blidy.

Słońce jednak jeszcze wysoko. Nic nam na tem nie zależy, byśmy za dnia do Algieru wrócili. Podejmujemy więc odrazu jeszcze jedną wycieczkę z Blidy w inną znów stronę gór, do również przez potok wyżłobionej doliny »Oued el Kebir«.

Znowu 10 kilometrów w jedną i drugą stronę. Lecz ta druga dolina, choć piękna, wydaje nam się po wspaniałościach poprzednio widzianej, jak kaganek po słońcu. Wracamy do Blidy i zaspokoiwszy pragnienie butelką doskonałego wina »Medea«, wracamy do Algieru.

Słońce zachodzi. Pędzimy z szaloną szybkością, tak, że aż bolą twarze od zabijających się o nie

much. Od Boufarik jedziemy inną znów drogą, ale ściemniło się zupełnie, więc nie wiele widzimy przy latarniach samochodu.

Jedziemy teraz wolno pod górę dość bystro idącą drogą. Wreszcie przed nami w oddali wielki rój świateł: Algier.

W 75 minut odbyliśmy 60 kilometrową drogę z Blidah do Algieru.

Jutro odchodzi pospieszny parowiec transatlantycznej kompanii do Marsylii.

Z żalem opuszczamy Algier i ten skrawek północnej Afryki, ten kraj cudów i niespodzianek, kraj najjaskrawszych kontrastów, gdzie spotyka się obok siebie ludy tyłu odmiennych ras i plemion i roślinność najrozmaitszą, północną i zwrotnikową, i wszystkie klimaty od gorącego w oazach Sahary, aż do śniegów długo w lato leżących na szczytach Atlasu, gdzie najwyższa cywilizacja graniczy bez przejść żadnych z zupełnem barbarzyństwem.

A wspominając doznane tu wrażenia i olbrzymie tu położone zasługi narodu francuskiego, życzymy dyplomacyi francuskiej zwycięstwa w walce o sąsiedni marokański sułtanat, by kiedyś jeszcze zwiedzić było można i ten ciekawy kraj, obecnie jeszcze dla szanujących swe życie turystów niedostępny.

KONIEC.

2371

15